HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I SIERPIEŃ 1946 NR 8

SUISSE SZWAJCARIA SCHWEIZ



SPIS TREŚCI

Klisze reprodukcyj dzieł malarzy i grafików polskich zostały wykonane z książek:

Katalog Działu Sztuki, Pol. Wystawa Kraj. 1929, Poznań

Alfred Kuhn, Die polnische Kunst, 1930, Berlin

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92.
Compte de chèques postaux II a 3219.

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I SIERPIEŃ 1946 NR 8

Paderewski o Sienkiewiczu

Tłumaczenie wyjątków z przemówienia, wygłoszonego po francusku 21 października 1924 w Vevey (Szwajcaria) na uroczystości dla uczczenia pamięci Sienkiewicza. Tekst przemówienia drukowany w Gazette de Lausanne, nr 293 z 22. X. 1924.

... Henryk Sienkiewicz był wielkim pisarzem, największym w swej epoce i we wszystkich krajach. Znakomity filolog, humanista, odznaczał się ową dyscypliną myśli i finezją słowa, które zdobyć można jedynie przez gruntowne poznanie pisarzy klasycznych...

... Jeżeli forma jego utworów jest bez zarzutu — to wielkość i szlachetność jego idei nie przestają napawać nas podziwem i szacunkiem. Wszystko, czym nas obdarzył, nacechowane jest pokrzepiającym i zapładniającym zdrowiem oraz dobrocią chrześcijańską. Bo człowiek ten był zdrowy, był dobry. Bo był wielki. Jego czyste, wielkie serce biło rytmem harmonii i porządku. Jego szeroki, światły umysł patrzał na ludzi z życzliwością, zaś jego nieugięte sumienie korzyło się jedynie przed Bogiem. Majestatyczna godność i doskonała skromność, te dwie bezsporne cechy ludzi naprawdę wielkich, przejawiały się w jego życiu — tak, jak przejawiają się w jego dziełach. Zawsze poza rozgrywkami politycznych partyj pozostając, tępił surowo błędy w różnorakiej ich formie, zwalczał mężnie wszystko to, co wydawało się przeciwne obowiązkowi — nie atakując przy tym ludzi. Nikt nie mógł pochwalić się, że słyszał coś złego o kimś, lub dobrego o sobie samym.

Był chrześcijaninem — to też odrzucał ze wstrętem pogańską doktrynę „sztuki dla sztuki". Przekonany, że ludzka kultura może zrodzić jedynie zło, jeśli wyzbyła się podstawowych zasad moralności, przekonany również że umysłowa praca człowieka ma wówczas tylko wartość, jeśli szerzy wokół siebie Dobro — czynił dla swego narodu wiele, nieskończenie wiele dobrego...

Henryk Sienkiewicz — król bez korony, wódz bez buławy — żył będzie po wsze czasy w swej wdzięcznej ojczyźnie. W diademie pełnym blasku sławnych imion, zdobiących ludzkość, Jego imię jaśnieć będzie wiecznie jako jeden z najcenniejszych klejnotów. Miłość, którą w swoich dziełach szerzył, ideał, któremu przez całe życie służył, moralność którą z pełnych rąk zasiewał — są czymś, co nie przemija, co jest wieczne...

Dr Tadeusz STARK (Szwajcaria)

Sienkiewicz w przekładach

W bieżącym roku przypada podwójna rocznica jednego z największych powieściopisarzy polskich Henryka Sienkiewicza. W dniu 5 maja b. r. minęło sto lat od chwili, gdy w roku 1846 ujrzał on światło dzienne w Woli Okrzejskiej. W dniu 16 listopada zaś upłynie od jego śmierci w Vevey w Szwajcarii 30 lat.

Podwójna ta rocznica naszego pisarza została uczczona przez prasę nie tylko polską, ale i zagraniczną.

Kim był wielki ten pisarz dla Polaków w latach ciężkiej niewoli sprzed pierwszej wojny światowej, nie trzeba dziś wykazywać. Począwszy od nowel, które pojawiły się w latach 1872 — 1882, poprzez Trylogię, zapoczątkowaną w roku 1883, Bez dogmatu (1891), Rodzinę Połanieckich (1895), Krzyżaków (1900), a kończąc na wydanej akurat 50 lat temu w roku 1896 powieści „Quo Vadis", zyskał on sobie w kraju imię wielkiego pisarza narodowego. Z książek Sienkiewicza czerpały wiarę w przyszłość całe pokolenia polskie sprzed pierwszej wojny, w nich czerpaliśmy i my w czasie ostatniej zawieruchy wojennej nadzieję w lepsze jutro. Mimo upływu szeregu lat od wydania poszczególnych dzieł jeszcze i dziś powieści Sienkiewicza porywają i krzepią na duchu każdego z nas.

Jeżeli o znaczeniu tego pisarza dla społeczeństwa polskiego napisano już wiele — to zagadnienie tłumaczeń jego powieści i nowel na obce języki należy do rzadko poruszanych i stanowi temat trudny, niemniej jednak wdzięczny, bo rzucający sporo światła na popularność Sienkiewicza za granicą. Biblioteki w kraju nie kompletowały przekładów Sienkiewicza. Materiałów w tym zakresie łatwiej jest, zwłaszcza dzisiaj, doszukać się poza krajem. To też rzeczą pożyteczną i celową wydało nam się wykorzystać je dla zorientowania polskiego czytelnika w tym ciekawym ze wszech miar bilansie popularności zagranicznej naszego wielkiego prozaisty.

Już pobieżny przegląd tłumaczeń Sienkiewicza oraz porównanie z dokonanymi do czasu wojny 1939 roku przekładami innych pisarzy polskich wykazuje, że Sienkiewicz dzierży bezsprzecznie palmę pierwszeństwa pośród autorów-Polaków. Dopiero daleko za Sienkiewiczem idą tacy pisarze jak Władysław Reymont, Stefan Żeromski, Wacław Sieroszewski i Ferdynand Antoni Ossendowski. Pisarze ci jednak nie mogą mierzyć się z Sienkiewiczem ani co do liczby tłumaczeń, ani co do ilości nakładów.

Według dokonanych przez nas obliczeń na podstawie zebranych materiałów d z i e ł a S i e n k i e w i c z a s ą t ł u m a c z o n e n a p r z e s z ł o 30 j ę z y k ó w. Wśród nich figurują obok ukraińskiego, białoruskiego, czeskiego czy słowackiego, takie języki jak: fiński, szwedzki, portugalski, japoński, hebrajski, a nawet esperanto. Nie znamy tłumaczeń na chiński oraz turecki, brak też danych co do Imperium Brytyjskiego, lecz jest bardzo prawdopodobnie, że i w tych krajach dokonano przekładów.

Jeśli przyjrzymy się podziałowi tłumaczeń według państw, to — zważywszy' iż tym samym językiem mówi się w kilku krajach, lub w jednym kraju używanych jest kilka języków: otrzymamy, że Sienkiewicz był dotąd tłumaczony w 29 krajach. Są to w porządku alfabetycznym kraje następujące: Austria, Belgia, Brazylia, Bułgaria, Czechosłowacja, Chile, Dania, Estonia, Finlandia, Francja, Grecja, Hiszpania, Holandia, Japonia, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Niemcy, Norwegia, Palestyna, Portugalia, Rumunia, Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Szwecja, Włochy, Węgry, Wielka Brytania oraz ZSRR.

Tłumaczenie „Quo Vadis" oraz nowel

Powieścią, która wyrobiła Sienkiewiczowi imię za granicą jest **„Quo Vadis"**. Dzieje się to w przeciwieństwie do samej Polski, gdzie na ogół nazwisko Sienkiewicza kojarzy się w pierwszym rzędzie z „Ogniem i mieczem" lub z „Potopem", a dopiero w drugiej kolejności z „Quo Vadis".

„Quo Vadis" posiada rekord tłumaczeń, przekraczając nieraz rocznie kilkanaście tysięcy egzemplarzy.

Bodaj najwięcej tłumaczeń tej powieści dokonano w języku niemieckim, gdyż począwszy od r. 1902 sięgają one liczby 25. Ponad 20 różnych tłumaczeń istnieje również we Włoszech, co jest zrozumiałe ze względu na miejsce akcji. Włochy są też jednym z pierwszych państw, gdzie dokonano przekładu, gdyż pierwsze wydanie datuje się sprzed 1900 roku (Quo Vadis, Racconto storico dei tempi di Nerone, Milano, Casa Editrice internazionale). W języku francuskim istnieje znanych nam 6 przekładów: Kozakiewicz i Janasz z 1900 r., Ferenczy, Picard, Regor de Sennerav, Halpérine-Kaminsky, Roncey. Nie przesądza to oczywiście ilości wydań, które sięgają również co najmniej cyfry 20, często po kilka w jednym roku.

Liczne są również tłumaczenia „Quo Vadis" na język czeski (6), węgierski (4), a nawet w języku japońskim istnieją dwa przekłady (Unsyu Matsumoto oraz Takeshi Kimura, to ostatnie z roku 1928). Wielką poczytnością cieszy się również „Quo Vadis" w Bułgarii, o czym świadczą przekłady z 1912, 1920 i 1927 roku. Z ciekawszych tłumaczeń „Quo Vadis" należy wymienić wydawnictwo brazylijskie w Rio de Janeiro (Livraria Garner), chilijskie, dokonane już w roku 1900 pod tytułem: „A dondé vas? — narración de la epoca de Neron", oraz hebrajskie z roku 1929 (Tel Aviv) p. t. „Qwo Wadis, sipur mijeme Nirongejsar".

W sumie „Quo Vadis" jest wydane w około 25 państwach. Najmniejszą stosunkowo poczytność wykazują kraje anglosaskie, co tłumaczy się tym, że wydane tam były inne powieści, posiadające jako tło pierwsze czasy chrześcijaństwa np. „Fabiola" angielskiego kardynała Wiseman lub „Ben Hur" Lewis Wallace.

Na drugim miejscu co do ilości tłumaczeń za granicą stoją Sienkiewicza **nowele**. Istnieje cały bogaty wachlarz ich tłumaczeń. Mamy tu więc najpierw zbiorowe wydania nowel, z których najkompletniejsze są czeskie przekłady. Potem idą wydawnictwa pojedynczych nowel.

„Stary sługa", jedna z najwcześniejszych nowel Sienkiewicza, doczekała się tłumaczenia w angielskim (Old serving man), czeskim (Stary sluha), niemieckim (Der alte Diener und sein Enkelkind), rumuńskim (Betrânul servitor), francuskim (Vieux serviteur) oraz rosyjskim (Staryj sługa).

„Hania“ — nosząca w języku francuskim oraz włoskim najczęściej nazwę „Rivalité d'amour“ lub „Rivalità d'amore“ — oraz „Szkice węglem“ (Esquisses au fusain, Abbozzi a carbone) były również bardzo często tłumaczone. Pierwsza z wymienionych została ostatnio w 1946 r. wydana w Szwajcarii w języku niemieckim (Wyd. „Gute Schriften“, Basel-Bern-Zürich).

Tłumaczenie „Latarnika“ nosi nazwę w języku francuskim „Gardien du phare“ lub „Allumeur de phare“ (Belgia 1902), w angielskim „Lighthouse-keeper“, w niemieckim zaś „Leuchtturmwæchter“ i wydane jest w około 20 językach. „Za chlebem“ cieszy się nie mniejszym powodzeniem. Obok idzie „Janko muzykant“ (noszący w francuskim tytuł „Jeannot le musicien“ lub „Yanko le musicien“).

Najwięcej ilościowo tłumaczeń wśród nowel Sienkiewicza wykazują „Bartek zwycięzca“ oraz „Pójdźmy za nim“. Ciekawe jest przyjrzeć się prawdziwej mozaice językowej już samych tytułów obu tych nowel. „Bartek“ nosi w francuskim tytuł „Bartek le Vainqueur“ lub „Bartek le Victorieux“, w angielskim „Bartek the conqueror“ w hiszpańskim „Bartek el Vencedor“, we włoskim „Bartek il Vincitore“, serbskim „Bartek Pobedilac“, rumuńskim „Bartek Invingatorul“, węgierskim „a Hös“, bułgarskim „Bartek Pobeditel“, czeskim „Bartek vitez“, słowackim „Vitaz Bartek“, estońskim „Wöitja“ oraz w fińskim „Sankari Bartek“. „Pójdźmy za nim“ jest jeszcze „barwniejsze“ językowo: w angielskim nowela ta nosi nazwę „Let us follow him“ w francuskim „Suivons le“ lub „Allons à lui“ (np. tłumaczenie Albin de Cigala z 1901), we włoskim „Seguiamolo“, chorwackim „Hajdmo k njemu“, szwedzkim „Latom oss följa honom“ rosyjskim „Pojdem za nim“, węgierskim „Ot Kövessük és Eglyéb Elbeszélések“, niemieckim „Folget ihm nach“, bułgarskim „Da go posledvame“, czeskim „Jej nasledujme“ lub „Pojd'me za Nim“ estońskim „Tema Järele“ oraz fińskim „Seuratkaamme Hänta“.

Przekłady „Trylogii“

Już zestawienie tych pierwszych dzieł Sienkiewicza daje nam obraz szerokiej skali oddziaływania tego autora na obce narody. Lecz na tym nie koniec. Specjalny rozdział należy poświęcić samej „Trylogii“, gdyż mogło by się wydawać, że ze względu na specyficzne tło oraz atmosferę wybitnie polską „Trylogia“ nie interesuje zagranicy. Jak zobaczymy, tak bynajmniej nie jest.

„*Ogniem i mieczem*“ tłumaczone jest ogółem w 16 państwach. Obok znanych powszechnie tłumaczeń francuskich (z których najbardziej popularnym jest przekład Wodzińskiego i Kozakiewicza z 1901 roku), niemieckich, angielskich, mamy tu przekład na duński, fiński, szwedzki oraz portugalski, ten ostatni dokonany w Brazylii w roku 1928 (Olympio Monteneiro). W Szwajcarii niemiecki przekład „Ogniem i mieczem“ został po raz pierwszy wydany w roku 1903 w Einsiedeln (Verlag Benziger).

Z ciekawszych tłumaczeń „*Potopu*“ wymienić należy przekład amerykański „The Deluge“, dokonany przez Jeremiah Curtin (Boston, Little Brown and Co), trzy przekłady hebrajskie „Hamabul“ w latach 1929 — 1931, dalej szwedzki, rosyjski, węgierski i fiński. Ogółem „Potop“ ukazał się w tłumaczeniu w 15 krajach.

Co do „*Pana Wołodyjowskiego*“ to ze względu na obce dla języków cudzoziemskich brzmienie nazwiska tom ten w różnych krajach różne nosi nazwy.

I tak we Francji nazwisko zostało skrócone do (Messire) „Wolodowski" lub po prostu nosi nazwę „Pan Michaël" (np. tłumaczenie Charles Grolleau, Paris 1902), w Estonii nazwisko brzmi „Wolodiewski", w Rosji (w wydaniu z lat przedwojennych 1902 lub 1917) „Pan Wolodyevskij", na Łotwie trzeci tom „Trylogii" znany jest pod nazwą „Pans Volodijevskis", w Jugosławii „Gospodin Volodijovski". Niektórzy tłumacze odrzucili w ogóle ze względów praktycznych nazwisko Wołodyjowski i umieszczają jako tytuł „Mały rycerz", np. szwajcarskie wydanie z 1902 nosi tytuł „Der kleine Ritter", podobnie jak słowackie, szwedzkie i norweskie. Ciekawe, że oryginalne brzmienie nazwiska zachowały jedynie trzy przekłady: czeski, słowacki oraz węgierski.

Jak z tego wynika, również „Trylogia" wzbudziła duże zainteresowanie za granicą.

Przekłady późniejszych dzieł Sienkiewicza

Można by się spodziewać, że psychologiczna powieść Sienkiewicza „Bez Dogmatu" oraz „Rodzina Połanieckich", jako bardziej tematem dostępne czytelnikowi niepolskiemu, winny się cieszyć większą poczytnością, niż inne. Tak jednak nie jest. W porównaniu do „Quo Vadis", nowel oraz „Trylogii", tłumaczenia tych powieści są mniej liczne.

„Bez dogmatu" jest oczywiście tłumaczone na francuski, niemiecki, włoski i angielski. Poza tym dostępne ono jest Norwegom, Szwedom, Duńczykom, Łotyszom, Finom oraz Grekom. Jeśli chodzi o państwa słowiańskie, przekład „Bez Dogmatu" dokonany został w Czechosłowacji, Jugosławii (odrębne tłumaczenie serbskie oraz chorwackie) oraz, co charakterystyczne, w ZSRR, gdzie jest stosunkowo świeży, gdyż datuje się z 1932 roku (Bez Dogmata, Moskva, Zurn. Gaz. Obedinenie).

Mniej więcej na te same języki przetłumaczona została *„Rodzina Połanieckich"*, z jednym chyba wyjątkiem angielskiego, w którym przekład tej powieści nie jest nam znany ani w W. Brytanii, ani w Stanach. Dochodzi tu nadto osobne wydanie szwajcarskie (tłumaczenie E. und R. Ettlinger).

Osobną pozycję stanowią *„Krzyżacy"*. Stwierdzić tu należy dużą wziętość przekładu tej powieści w Anglii oraz w Stanach Zjedn., gdzie nosi ona tytuł „The knights of the Cross". Została ona wydana po raz pierwszy w obu tych krajach w tym samym roku, w którym autor ją ukończył i wydał w języku polskim, t. j. w 1900. We Francji „Les Chevaliers de la Croix" zostały wydane w 1901, 1905 i 1931 roku, nadto wyjątki tej powieści opublikowano w 1916 pod tytułem „Bataille de Grünwald". We Włoszech istnieją dwa przekłady „Krzyżaków" — pierwsze p. t. „I cavalieri teutonici" z roku 1910 (traduzione di Nino de Sanctis, Roma), drugie zatytułowane „I crociati" — (wydane nakładem Biblioteca Amena, Milano). Kraje słowiańskie, nie wyłączając Rosji, posiadają każde swe własne tłumaczenie, co jest zrozumiałe ze względu na temat. Natomiast jest rzeczą charakterystyczną, że powieść „Krzyżacy" jest kilkakrotnie tłumaczona na język niemiecki, bądź to w samych Niemczech, bądź też w Austrii, lub wreszcie w Szwajcarii. Z innych języków należy wymienić przekład rumuński (Cavalieri Crucei), węgierski (A keresztes lovagok, Budapest 1902), łotewski (Krustnesi, Riga 1930), szwedzki (Korsriddarna, Stockholm 1903), norweski (Korsridderne, Kristiania 1903) oraz portugalski w wydaniu brazylijskim (Os cavalieros da Cruz, S. Paolo, Ed. Unitas).

Co do popularności, „Krzyżacy“ stoją naszym zdaniem na trzecim miejscu wśród przekładów Sienkiewicza, po „Quo Vadis“ oraz nowelach. Ogółem powieść ta znana jest w ponad 20 krajach.

Z ostatnich powieści Sienkiewicza, wydanych przeważnie po roku 1900, najbardziej znaną jest *„W pustyni i w puszczy“*, zwłaszcza w wydaniu dla młodzieży (około 15 państw), potem idzie *„Na polu chwały“* (12 państw), *„Na jasnym brzegu“* (7 państw) oraz *„Wiry“* (4 państwa, nie znamy m. in. tłumaczenia francuskiego, jest natomiast przekład angielski, rosyjski, niemiecki oraz czeski).

Wreszcie ostatnia, niedokończona przez Sienkiewicza powieść *„Legiony“*, została przetłumaczona na język niemiecki oraz czeski w latach 1917 — 1918.

Podział tłumaczeń według krajów

Jeśli przyjrzymy się przekładom dzieł Sienkiewicza od strony samych krajów, w których zostały one wydane, to pierwszą konkluzją, jaka się narzuca, jest stwierdzenie zrozumienia i dużej popularności Sienkiewicza wśród państw słowiańskich. Przekłady na rosyjski, czeski, chorwacki, serbski, słoweński, słowacki oraz bułgarski są bardzo liczne, a ilość ich stale wzrastała do roku 1939.

Co do Rosji, to należy tu odróżnić dwa okresy: pierwszy do czasu rewolucji, zamykający się rokiem 1917, oraz drugi od tej daty do dnia dzisiejszego. W pierwszym okresie przekłady Sienkiewicza wykazują około 75 pozycyj, przy czym dużą wziętością cieszyły się przede wszystkim nowele, potem „Quo Vadis“ (Kamo grjadesi) oraz „Krzyżacy“ (Krestonoscy). Wszystkie dzieła Sienkiewicza były tu wydawane kilkakrotnie zbiorowo, począwszy od 1900 i 1902. W drugim okresie, po-rewolucyjnym, wydany został kilkakrotnie dla młodzieży „Janko muzykant“ oraz jeden raz „Staryj sługa“, „Ganja“ (Hania) i „Junyj Gerkules“ (Orso). Z powieści Sienkiewicza wydane zostały w Rosji po roku 1917 jedynie dwie: „W nedrach Afriki“ („W pustyni i w puszczy“) 1923 i 1925 oraz „Bez dogmata“ (1932). W języku ukraińskim oraz białoruskim liczne były wydania Sienkiewicza na terenie samej Polski.

W Bułgarii Sienkiewicz znany jest przede wszystkim z nowel oraz powieści „W pustyni i w puszczy“ wydanej w Sofii w roku 1923 i 1924/5, a nadto z „Krzyżaków“ (1921). Ogółem w kraju tym Sienkiewicz liczy około 20 pozycyj tłumaczeń. W Jugosławii, gdzie wchodzą w rachubę język serbski, chorwacki i słoweński, w sumie istnieje również około 20 pozycyj, przy czym najbardziej znane jest tłumaczenie „Ogniem i mieczem“ oraz „Krzyżaków“ na chorwacki, a „Potopu“ na serbski. W języku słoweńskim istnieje tłumaczenie „Pana Wołodyjowskiego“, „Quo Vadis“ oraz zbioru nowel. Przetłumaczono tu również „Rodzinę Połanieckich“ w roku 1928 (na chorwacki).

Czesi dzierżą bezsprzecznie palmę pierwszeństwa co do tłumaczeń Sienkiewicza wśród narodów słowiańskich. Obok około 60 pojedyńczych przekładów w latach 1929—30, wydane zostało zbiorowe wydawnictwo czeskie wszystkich dzieł Sienkiewicza w XXI tomach, t. zw. „Sebrané Spisy Henryka Sienkiewicze“. „Ogniem i mieczem“ wydane zostało w trzech przekładach (C. Fric, W. Grzymałowski oraz Vaclav Kredba), nadto jeden przekład słowacki z roku 1930 (Mikulas Stano, Andrej Germuska i Jan Holly). „Potop“ liczy również 3 przekłady, „Quo Vadis“ zaś 4 przekłady czeskie i 2 słowackie. Najlepsze i naj-

kompletniejsze wydawnictwo nowel Sienkiewiczowskich datuje się z roku 1901 (Drobné Spisy, Praha 1901, E. Beaufort). Warto również wspomnieć, że w roku 1924, z okazji sprowadzenia zwłok pisarza do Polski, w Pradze wydana została przez specjalny komitet uczczenia pamięci Henryka Sienkiewicza zbiorowa praca p. t. „Pomàtce Henryka Sienkiewicze Narod Ceskoslovensky“.

Obok tego olbrzymiego wpływu na narody słowiańskie podkreślić należy zrozumienie i popularność Sienkiewicza we Francji oraz w Niemczech. Przez tłumaczenie na te dwa języki powieści i nowele Sienkiewicza zostały udostępnione właściwie całemu światu cywilizowanemu. Francja wykazuje ponad 50 pozycyj różnych tłumaczeń Sienkiewicza, przy tym dokonano tu przekładów wszystkich dzieł wielkiego pisarza z wyjątkiem „Wirów“ i „Legionów“,

Na dalszych miejscach stoją Włochy oraz kraje anglosaskie. Co do tych ostatnich, to duże ożywienie dało się zauważyć w latach przed ostatnią wojną. W Wielkiej Brytanii istnieją dwa tłumaczenia „Krzyżaków“ z 1900 roku oraz jeden przekład nowel z 1931 roku (Tales). W Stanach Zjedn. Sienkiewicz jest znany z przekładów „Ogniem i mieczem“ (With fire and sword — Dent. 1895, Boston 1904 i New York 1905), „Potopu“ (The Deluge — trans. by J. Curtin, 1895), „Pana Wołodyjowskiego“ (Pan Michael — 1895), „W pustyni i puszczy“ (In desert and wilderness), „Na polu chwały“ (On the field of glory — J. Curtin 1906), „Bez dogmatu“ (Without dogma — transl. by I. Young 1896) oraz z „Wirów“ (Whirlpools). Jak podaje J. H. Baxter w wydanym przez towarzystwo polsko-szkockie w 1942 r. spisie poloników p. t.: „What to read about Poland“ — „Quo Vadis“ zostało wydane w języku angielskim w 1931 r. W spisie tym z dzieł Sienkiewicza figurują nadto: „Children of the Soil“ (trans. by J. Curtin, 1895), „Int he new promised land“ (trans. by Comte de Soissons Jarrolds 1900) oraz „In Monte Carlo“ (trans. by Comte de Soissons, Greaning 1902).

Bardzo ciekawy jest również wzrost w ostatnich latach przed wojną zainteresowania Sienkiewiczem w krajach bałtyckich: w Estonii i na Łotwie, oraz w krajach skandynawskich, zwłaszcza w Szwecji. W małej Estonii istniało już w roku 1900 tłumaczenie „Quo Vadis“, w roku 1925 zaś dokonano tłumaczenia „W pustyni i puszczy“. Na Łotwie w roku 1930 przetłumaczono „Krzyżaków“, w 1931 „Pana Wołodyjowskiego“ a w 1932 „Bez Dogmatu“. Szwecja wykazuje około 20 tłumaczeń dzieł Sienkiewicza z Trylogią na czele. Obok stoi Finlandia z 15 tłumaczeniami różnych dzieł oraz Norwegia z 10 tłumaczeniami. W Danii istnieje obok przekładu „Quo Vadis“ tłumaczenie „Ogniem i mieczem“, „Bez Dogmatu“ oraz „W pustyni i w puszczy“.

Nasi sąsiedzi z południa, Węgrzy oraz Rumuni, posiadają kolejno: pierwsi 30 przekładów Sienkiewicza, drudzy 12.

W Szwajcarii gros przekładów dokonanych jest w języku niemieckim, przy czym wydane one zostały po większej części w Einsiedeln. Ludność romańska Szwajcarii korzysta z wydawnictw francuskich. Spośród tłumaczeń niemieckich wymienić należy tłumaczenie „Ogniem i mieczem“ z 1903, „Potopu“ z 1906 oraz „Pana Wołodyjowskiego“ z 1902. Powieść „Krzyżacy“ wydana była wielokrotnie, począwszy od 1901, podobnie zresztą jak i „Quo Vadis“. Znaną tu jest nadto powieść „Rodzina Połanieckich“ po niemiecku oraz nowele (Ums liebe Brot und zehn andere Novellen).

Andrzej Bobkowski (Francja)

KEYSERLING

(Dokończenie)

Wczuwając się doskonale w tempo życia nowego świata, przewidując trudności jakie pojawią się przed nami, Keyserling dostrzega, że jakakolwiek dyskusja pomiędzy siłami, które dojdą do głosu, będzie niemożliwa. I tu proponuje rozwiązanie. Wszelka dyskusja jest jego zdaniem bezcelowa, jeżeli nie rodzi się z niej coś nowego. Idealnym rozwiązaniem problemów, w jakie zabrnął świat, nie jest ani neutralizacja, ani przewaga jakiegoś danego elementu celem narzucenia go, lecz wytworzenie wyższego rytmu, który mógłby służyć za punkt wyjścia dla nowego postępu na wyższej płaszczyźnie, na której zostaną opanowane, a nie pogodzone sprzeczności pozornie niemożliwe do pogodzenia.

Jeżeli zastanowimy się przez chwilę i uświadomimy sobie sytuację, w jakiej świat znajduje się obecnie, zobaczymy ile racji jest w tej koncepcji Keyserlinga. Zgodnie z nią każdy konflikt, rozgrywający się na tle rozwiązywania problemu, jest niemożliwy do rozwiązania tak długo, jak długo pozostaje się na tej samej płaszczyźnie, na jakiej on wynikł; natomiast możliwym jest przekreślenie go przez wzniesienie się ponad tę płaszczyznę, chociażby przez postawienie na miejscu dotychczasowego konfliktu nowego problemu wyższego gatunku. I gdy widzi się rosnące dziś nieporozumienie, trudno rzeczywiście obronić się przed sugestywnością tej propozycji. Konflikty narastają dziś, bo żadna ze stron, a szczególniej jedna z nich, nie chce ruszyć się z płaszczyzny, na jakiej weszła w konflikt z drugą stroną. Kto wie, czy wyraźne odwrócenie się od kilku problemów i przeniesienie dyskusji na wyższą płaszczyznę, (o co bezskutecznie zresztą stara się Zachód) na płaszczyznę człowieka i całej ludzkości np., nie pozwoliłoby na opanowanie obecnych trudności.

Nie ograniczając się jedynie do głoszenia swych myśli w zamkniętym kole „Szkoły mądrości", ale do bezpośredniego działania, czym tak bardzo różni się od innych filozofów, Keyserling nie zamyka się w przysłowiowej wieży z kości słoniowej i przerzuca od r. 1926 swoją działalność z Niemiec na cały Zachód. Precyzując swoje poglądy na ewolucję świata w wydanej w r. 1926 doskonałej pracy „Rodzący się świat" (Die neuentstehende Welt), w której do-

---

W innych krajach nazwisko Sienkiewicza jako autora figuruje w Brazylii (A ferro e fogo, O Diluvio, Quo Vadis oraz Os Cavalieros da Cruz), w Chile (A dondé vas = Quo Vadis), w Grecji (Hoi Antizeloi, Horis Dogma i Quo Vadis), w Hiszpanii (El Diluvio, Quo Vadis, A sangre y fuego, Cuentos Selectos), w Japonii (Daikozui = Potop, Quo Vadis) oraz w Palestynie (Qwo wadis, Hamabul = Potop).

Warto również na zakończenie wspomnieć, że nowele Sienkiewicza zostały w roku 1925 przetłumaczone w Lipsku na esperanto (Noveloj, tradukis Lidia Zamenhof).



Tadeusz Kulisiewicz „Ryt". Kobieta z różańcem



Tadeusz Kulisiewicz „Ryt“

strzega już to, co naprawdę oczywistym staje się dzisiaj dla każdego, a mianowicie że poziom obecnej cywilizacji zewnętrznej jest wyższy od naszego poziomu duchowego — poziomu kierowcy maszyny, uprymitywnionego technika, rozpoczyna on budzenie inicjatywy duchowej ludzi, budzenie myśli. Staje się „metafizykiem akcji“ jak świetnie określa go Daniel Rops.

Stosuje tutaj technikę prowokacji; prowokując, porusza umysły, zmusza do myślenia. Robi to zupełnie świadomie, choć wie, że popularność jego może na tym ucierpieć. Wychodząc z założenia, że żadne dzieło oryginalne nie da się naprawdę przetłumaczyć na język obcy, gdyż myśl jest tak samo ciasno związana z językiem, który ją wyraża, jak dusza z ciałem, Keyserling wykorzystuje swoją wspaniałą znajomość obcych języków i pisze po niemiecku lub wprost po francusku albo po angielsku — zależnie od tego, przez kogo chce być najlepiej zrozumianym.

W r. 1927 ukazuje się jego sławna „Analiza spektralna Europy“ (Das Spektrum Europas). Keyserling sam jeden rzuca w niej wyzwanie wszystkim narodom Europy. Rozpoczyna on tu od nakreślania wspaniałej karykatury każdego poszczególnego narodu, aby natychmiast potem dać jego idealny obraz. Pokazuje, że każdy z nich jest i tym i tym, zależnie od punktu spojrzenia. Analiza Keyserlinga jest odważna, pełna humoru i polotu. Każdemu dostaje się tu, z każdym Keyserling „zadziera“ mniej albo więcej. „Dla Europejczyka z kontynentu mieszkańcy wysp brytyjskich są zupełnie niezrozumiali. To przede wszystkim tłumaczy zjawisko anglomanii“. Od tak krótkiego i kapitalnego spostrzeżenia rozpoczyna się rozdział o Anglii. „Francuz jest całkowicie i w najwyższym stopniu ogrodnikiem...“ — brzmi zaczepka. „Jest rzeczą niemożliwą dyskutować owocnie z Francuzem, jeżeli nie podziela się jego przekonania fundamentalnego“. Świetną analizę Niemców, z której wynika, że nie są oni właściwie narodem, można by umieścić dziś we wszystkich czytankach w szkołach niemieckich, jeżeli się wierzy w reedukację. Keyserling wykazuje tu, czym Niemcy mogliby być, gdyby... Charakterystyka Szwajcarii, cięta i przenikliwa, wywołała niemal skandal. W Zurychu odbywały się specjalne meetingi i zebrania, poświęcone uwagom Keyserlinga. Luźno rzucane uwagi o Rosji wykazują świetną znajomość tego narodu: „Historia Rosji rozpoczęła się pod postacią renesansu ducha bizantyjskiego. Ten renesans skończył się, gdy centrum przeniesione zostało z Kijowa do Moskwy, gdzie duch Dżingis Hana stał się dominantą. Tradycję tego ducha kontynuuje bolszewizm, będąc potężnym duchem organizacyjnym. Jawnym celem obecnej Rosji jest człowiek kolektywny, przeciwstawiający się indywidualności samookreślającej się. Tam ma się literalnie nadzieję zastąpienia pewnego dnia aparatem osobowości ludzkiej, jak dotąd niestety nieodzownej. Bolszewizm jako ruch ludowy — który jest oczywiście zupełnie inną rzeczą, aniżeli tym, za co uważany jest przez swych przywódców doktrynalnych — nie może być zrozumiany, jeżeli nie weźmie się pod uwagę, że jest to pańszczyzna działająca nadal w podświadomości; obiecuje on królestwo raju bezimiennej masie. I, jak zwykle, ideał przyszłości podobny jest najbardziej do tego, co zwalcza z taką gwałtownością. Ideał robotnika rosyjskiego przypomina najbardziej rzymską triremę, gdzie niewolnicy, zmieniani co kilka godzin, miarowo ruszali wiosłami w rytmie wystukiwanym przez nadzorcę“.

W obrazie Europy brak Polski. Następne, powiększone wydanie, miało zawierać i naszą charakterystykę. Niestety nie ukazało się ono. Ale jedno krótkie zdanie, charakteryzujące nas i wypowiedziane na tle rozważań o krajach bałtyckich, świadczy o tym, jak świetnie Keyserling wyczuł treść Polski: „Polska jest w stopniu o wiele gwałtowniejszym katolicka i zachodnia, aniżeli jakikolwiek inny kraj właśnie dlatego, że dzięki swojemu słowianizmowi czuje ona specjalnie różnicę, jaka istnieje między nią a duchem rosyjskim“. Nie wydaje się, aby ktokolwiek przedtem potrafił tak trafnie i tak zwięźle ująć istotę Polski. Wypadki potwierdzają codziennie i coraz bardziej głębię tego spostrzeżenia. Mógł to dostrzec jedynie ten, o kim Rabindranath Tagore powiedział: „Spośród wszystkich ludzi Zachodu jakich znam, Keyserling jest najbardziej gwałtownie zachodnim“.

Całe to pełne uśmiechu i humoru poważne studium kończy się rozdziałem o Europie, i apelem do Europy. Keyserling wyczuwa już wówczas to, co tak silnie zarysowuje się dzisiaj: „Dziś przeważa poczucie różnicy w przeciwstawieniu do charakteru rosyjskiego, a szczególniej do charakteru azjatyckiego i poczucie to będzie przeważało coraz bardziej w miarę, jak klimat duchowy i nieporozumienia wojny światowej zatrą się... Europejczyk, a z nim Europa, tworzy się w wyniku naturalnej konieczności. Tworzy się on jako produkt specyficznego zróżniczkowania w łonie ludzkości, wyczuwanej przez niego wewnętrznie jako jedno praistniejące. Tworzy się on dzięki poczuciu różnic istniejących pomiędzy Wschodem i Zachodem, poczuciu, które coraz bardziej powoduje u Europejczyków przewagę tego, co jest im wspólne, nad tym, co ich rozdziela... Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nowa jedność wyższego rzędu utworzy się ponad narodami, które pozostaną zresztą równie żywotne, jak dawniej. Jeżeli jednak sprawy potoczą się źle, skończy się to zupełnym rozbiciem Europy...“

Wyjaśnia to w zupełności wszystkie zamachy na jedność europejską, jedność ducha przede wszystkim.

W niedługi czas potem Keyserling puszcza w świat doskonałe studium o Ameryce, pisane wprost po angielsku p. t. „America set free“. Sławny André Siegfried, profesor paryskiej Szkoły Nauk Politycznych i autor poważnej pracy o St. Zjedn. pisze po przeczytaniu tej książki: „Keyserling wskazuje nam kierunek do nowej psychologii Amerykanów, która będzie, być może, bardziej psychologią jutra, niż psychologią dzisiaj“.

Ale stanowisko zajęte tu przez Keyserlinga w odniesieniu do ideałów amerykańskich, maszynizmu i technokracji, wzbudziło wrogość tak powszechną, jak gdyby nakazano ją dekretem. Gdy cały świat pisze i mówi w kilka lat później z zachwytem o „Medytacjach południowo-amerykańskich“, czołowym dziele Keyserlinga, Stany Zjedn. milczą. Nawet Glenn Frank, prezes Uniwersytetu w Madison, Wisconsin, który rok przedtem oświadczył, że może któregoś dnia Keyserling zostanie uznany za świętego Jana Chrzciciela nowej cywilizacji zachodniej, milczy teraz z uporem. Oznacza to tylko, że cios był dobrze wymierzony.

W r. 1932 Keyserling kończy swoje „Medytacje południowo-amerykańskie“. On sam uważa je za swoje dzieło kapitalne, za wielką syntezę całej swojej myśli. Książka ta jest absolutnie czymś jedynym w swoim rodzaju. Z każdej

strony bije tu niebywałe wprost bogactwo i intensywność myśli — myśli związanej bezpośrednio z człowiekiem i jego problemami. To wszystko znowu na tle tego „kontynentu trzeciego dnia stworzenia“ jak nazywa on Amerykę Południową.

Począwszy od roku 1933 Keyserling znajduje coraz mniejsze echo. Ryk Fuehrera, rozlegający się w całym świecie, głuszy słowa mędrca. „Gdyby Einstein został usunięty z naszego kraju — pisze Keyserling — dla Niemiec byłoby to równoznaczne z drugą bitwą nad Marną“. Einstein zostaje wygnany, a Keyserling skreślony z listy pisarzy. Ale działa dalej. Zakazany w Niemczech, przerzuca swą działalność na Francję. Wygłasza odczyty i pisze wprost po francusku. Ukazuje się wtedy prześliczne „La vie intime“, „Sur l'art de la vie“ i „La révolution mondiale et la responsabilité de l'esprit“. Po mistrzowsku określa tutaj sytuację: „Wiek mas jest w rzeczywistości wiekiem prowodyrów. Masy nigdy nie działają same przez się. Czym większa ilość ludzi wchodzi w grę, w tym większym stopniu organizacja i dyscyplina biorą górę. Ale organizacja i dyscyplina, aby być skutecznymi, z góry zakładają istnienie wodzów, którzy je narzucają i podtrzymują. To też czym bardziej zwiększa się liczba mas, tym sztywniejszą staje się nieodzowna dyscyplina; tym większą staje się w wyniku tego władza jednostek, za którymi masa podąża i których słucha. Wodzowie ci tworzą znikomą mniejszość, prawdopodobnie najbardziej znikomą, jaka kiedykolwiek rządziła milionami ludzi. Ale też nigdy mniejszość nie miała większego wpływu. To też jej działanie jest jedynym, jakie się dzisiaj liczy, w sensie historycznym. Łatwo jest wysławiać wszechpotęgę wielkiej osobowości: w rzeczywistości żadna osobowość nie wywierała wpływu o ile inni nie otworzyli się dla niej. Jeżeli raz otwarli się oni, podleganie wpływowi staje się często nieograniczone; jednak pierwsza decyzja za takim czy innym przywódcą zależy zawsze od „innych“. Od tego momentu rozumiemy, dlaczego każda epoka ma przywódców, na jakich zasługuje. A zatem jaki jest typowy okaz przywódcy naszych czasów? Niech się nie mówi, że jest on pozbawiony inteligencji, ponieważ rzadko działa on na umysły niezależne; niech się zatem nie mówi, że inteligencja jest bez znaczenia w naszej epoce; wprost przeciwnie, prowodyr nowoczesny jest bardzo często wybitnie inteligentny. W rzeczywistości, inteligencja odgrywa w ostatnich dziesiątkach lat rolę znacznie większą, aniżeli przed wojną, gdy wystarczało być nieraz głupim w odpowiedni sposób, by mieć prawo ubiegania się o stanowiska obciążone bardzo wielką odpowiedzialnością. Jeżeli chodzi o prawdę, oto ona: jedynie inteligencja pewnego gatunku odgrywa rolę: inteligencja poskramiacza dzikich zwierząt a nie przewodnika duchowego.

W r. 1934 Keyserling „naucza“ w Hiszpanii, w 1935 jest znowu w Paryżu. Powróciwszy w r. 1937 do Darmstadt'u staje się właściwie więźniem. Nie wypuszczają go za granicę, a „Völkischer Beobachter“ zauważa pół-żartem, pół-serio, że „największą chwałą Rzeszy nie było zgniecenie komunizmu, lecz zmuszenie Keyserlinga do milczenia“.

W przedmowie do ukazujących się we Francji w 1939 r. „Figures Symboliques“ jest jakby pożegnanie: „Od chwili, gdy historia rodzaju ludzkiego rozwija się pod znakiem rewolty sił tellurycznych (najniższych instynktów), przedstawiciele tych sił nie tylko wiodą prym, ale wprost nie mogą nie zajmować pierwszego miejsca i wszystkich trybun, z których głos dosięga milio-

nów ludzi“ — Od tej chwili Duch, jeżeli chce działać, może to czynić jedynie głosem Milczenia, akumulując siłę wewnętrzną dzięki bezustannemu skupieniu.

Czas jego nadejdzie.

Keyserling próbuje milczenie to przerwać i cenzura puszcza jakoś pisane po niemiecku „Medytacje milczenia i skupienia“. Ale żaden następny rękopis nie prześlizguje się więcej. Goebbels, zapytywany przez bliskich filozofa o motywy tej instrukcji, odpowiada: „Nie chodzi o politykę, chodzi o Keyserlinga“. W tym samym roku, t. j. w 1941 hitlerowcy „wyprowadzają“ z Darmstadt'u 35.000 tomów, zebranych w „Szkole mądrości“. W rok później Keyserling przenosi się do Tyrolu. Cierpi na serce.

Toczy się wojna. Walczące kraje nie mają czasu na myślenie. Ale w ponurej codzienności okupacji we Francji Keyserling żyje. Głos Milczenia przenika tu. Pomimo ograniczeń papieru ukazują się pod koniec r. 1941 i w początkach 1942 „Diagnostic de l'Amérique“, „Méditations Sud-Américaines“ i „De la souffrance à la plénitude“. Skazany na milczenie w Niemczech, mówi cały czas we Francji i jest słuchany. W krótkim czasie każda jego książka staje się drogocennym egzemplarzem, osiągalnym jedynie na czarnym rynku. Wieczorami przerzuca się kartki: „Książę Machiavela został nie tylko prześcignięty, lecz pozostawiony daleko w tyle przez nowoczesnego męża stanu, który przy byle sposobności mówi bez zająknienia o ideale i prawie. Wywiad, kontrwywiad, prowokacja, wyzyskiwanie słabości drugiego, uparty nacisk, godny Shylocka, na traktaty lub hipokryzyjny wysiłek obejścia ich, wszystko to należy do rutyny każdej polityki zagranicznej, ukoronowanej powodzeniem. W tym znaczeniu nie znam zawodu bardziej nikczemnego. Najgorszym w tym zawodzie nie jest jego notorycznie kryminalny charakter, objawiający się jedynie przy sposobności, lecz jego pretensja do reprezentowania lub obrony „prawa“. Polityka jest zawsze niesprawiedliwa, moralnie zawsze zła. I dlatego tyle natur zbrodniczych było wielkimi mężami stanu...“

Miejsca tego rodzaju nabierały specjalnego smaku; chyba go nie straciły... Inne zyskały: „Tropiony przez niezrozumienie innych, każdy naród staje się z dnia na dzień coraz bardziej zamknięty i dogmatyczny w określaniu swych ideałów, swoich planów i interesów, co na dalszą metę mogłoby doprowadzić do prawdziwych wojen religijnych. Jedyna płaszczyzna, na jakiej istnieje pewna wspólnota, to niezrozumienie, którego wszystkie narody, bez wyjątku, dają dowód w obliczu kryzysu światowego... Wszystkie instytucje międzynarodowe lub ponadnarodowe, stworzone po wojnie, grzeszą jednym: starają się one znaleźć kompromis albo zatrzeć prawdziwe różnice i antagonizmy, siłą popierając przewagę swych wyłącznie własnych interesów. Tymczasem zagadnienie pacyfikacji świata nie jest zagadnieniem zewnętrznym, lecz wybitnie problemem życia wewnętrznego. A życie wewnętrzne, osobiste i jedyne w każdym poszczególnym wypadku, nie jest zdolne do kompromisu ani do głębokich zmian, któreby nie były wyrazem całkowitej metamorfozy. Jedyna płaszczyzna na jakiej porozumienie wydaje się możliwym, to płaszczyzna, na której zagadnienia dzielące narody byłyby per definitionem wyeliminowane i na której postawiło by się inne. Ta płaszczyzna, która jedynie mogłaby ocalić świat przed nową i tym razem prawdopodobnie fatalną katastrofą, jest oczywiście z rzędu duchowych. Odpowiadałaby ona temu, czym był dla średniowiecza chrystianizm.

Dr Konstanty Regamey (Szwajcaria)

Ostatnia praca muzyczna Ignacego Paderewskiego

W ostatnich latach swego życia, gdy wiek i stan zdrowia coraz mniej mu pozwalały na działalność koncertową i pedagogiczną, podjął się Paderewski pracy, której wyniki są jeszcze za mało znane, a która jednak w tak obfitym wieńcu jego wielkich zasług artystycznych stanowi kwiat nie najmniej trwały. Pracą tą było wzorowe wydanie dzieł Fryderyka Chopina. Zdawało by się, iż nowa edycja utworów Chopina wobec tylu już istniejących nie była zadaniem najpilniejszym ani zbyt trudnym. A jednak problem ten bynajmniej nie jest tak prosty i to właśnie z powodu istnienia tak wielu wydawnictw. Wobec tego, iż fakty te są na ogół mało znane, nie od rzeczy będzie podać garść szczegółów informacyjnych.

Pierwsze wydania dzieł Chopina, które się ukazały jeszcze za jego życia, są już od dawna wyczerpane. W 60-tych latach ubiegłego stulecia ukazało się pierwsze zbiorowe wydanie Gebethnera i Wolffa w Warszawie, oparte na oryginalnym i różniące się od niego co najwyżej drukarskimi błędami. W kilkanaście lat później, wobec wyczerpania i tego nakładu, zrobił Kleczyński na tych samych płytach swoje wydanie, wprowadzając palcowanie i pewne nieznaczne zmiany w łukowaniu i pedalizacji. W 90-tych latach, znowu na tych samych płytach wprowadził swoje zmiany Strobl. W ten sposób oryginalna płyta została dwukrotnie zdeformowana.

Keyserling przetrwał wojnę. W lecie 1945 r. nawiązuje pierwsze kontakty ze światem. Jest pełen energii, humoru i zapału. Skończył pisać większe studium, którego nie mógł opublikować dotąd. Poza tym zamierza pracować nad swoim obrzymim dziennikiem, prowadzonym od r. 1936, który ma być w czasie tym, czym „Dziennik podróży“ był w przestrzeni. Ma zamiar napisać około dalszych 1000 stron. Zapytany o Niemców odpowiada świetnym skrótem: „To co brali oni za wiarę, było jedynie posłuszeństwem“.

W jesieni 1945 r. przemawia przez radio. Ale emanuje z niego jakby mniej energii. Jest coś bezgranicznie smutnego w tym głosie, który tak samotnie i bez żadnego oddźwięku przemawia w burzliwą przestrzeń. Mówi o sobie i o tych czarnych latach wojny, czeka na propozycje wydawców. Ale ma się wrażenie, że nie starczy mu już sił, by jakimś tytanicznym zrywem wewnętrznym dobrać się z powrotem do dusz ludzi tego świata.

Jego rolę i znaczenie określił może najlepiej Robert Nichols: „Keyserling jest nowoczesnym Faustem. Nawet jego błędy wywierają bardziej ożywcze działanie, aniżeli prawdy wypowiedziane przez umysły mniejszych rozmiarów“. Po jednym z jego odczytów w Paryżu ktoś napisał do niego: „Daje nam pan nie myśl, lecz chleb“.

Jego śmierć pozbawia nas tego chleba — chleba myśli najwyższego gatunku, równie ważnego w życiu i koniecznego, jak ten powszedni.

Płyty pierwszych wydań zagranicznych, tzw. francuskiego, angielskiego i Breitkopfa i Haertla zostały od dawna przetopione na inny użytek, tak iż poza nielicznymi zachowanymi egzemplarzami pierwszych wydań nie zostało śladów autentycznej wersji. Zdawało by się, iż wobec istnienia nieprzerwanej tradycji chopinowskiej nie było nic groźnego w tym zniknięciu pierwowzorów. Jednakże tzw. tradycja chopinowska miała bardzo szczególne oblicze. Chopin bardziej niż którykolwiek inny kompozytor stał się ofiarą własnej tradycji. Właśnie tradycji zawdzięczamy powstanie całego szeregu fałszywych i nie wiadomo skąd wziętych szczegółów biograficznych. I tak jak niepowołani a najbardziej czytani biografowie starali się upiększać życiorys Chopina, tak też każdy z wykonawców i interpretatorów uważał za swój obowiązek upiększać i „poprawiać" według swego widzimisię tekst muzyczny utworów Chopina. Pokusie tej nie oparli się nawet najsumienniejsi wydawcy, jak np. uczeń mistrza Mikuli, cóż więc dziwnego, iż z jeszcze większą samowolą poczynali sobie ludzie niezwiązani z Chopinem żadną osobistą tradycją. Działo się to w drugiej połowie XIX-go wieku, kiedy wszelkie transkrypcje i modernizacje były w modzie i nikt się zbytnio nie troszczył o wierne zachowanie oryginału. Prawie każdy kompozytor ucierpiał od tych metod; Chopin może najwięcej, właśnie dlatego, iż każdy powołany czy niepowołany chciał go grać i każdy uważał, iż przez tego rodzaju dodatki pogłębia interpretację „romantycznej duszy" kompozytora.

W rezultacie powstało tyle odmiennych wersyj utworów chopinowskich (różniących się oczywiście tylko w szczegółach, ale nieraz bardzo wyraźnie), iż powstała potrzeba ustalenia obowiązującej wersji. Każdemu nowemu wydawcy przyświecał cel dania takiej „prawdziwej" wersji, ale w dążności do tej prawdziwości niemal żaden nie zadawał sobie trudu sprawdzenia istniejących autentycznych źródeł, lecz opierał się bądź na wątpliwej wartości świadectwach pośrednich (jak np. tradycja uczniów, a zwłaszcza uczennic Chopina), bądź też na własnym wyczuciu.

Dopiero XX-ty wiek, z jego dążnością do autentyzmu i obiektywizmu, podszedł do zagadnienia od innej strony, od strony sumiennego zbadania źródeł i pierwowzorów. Wobec jednak zachwaszczenia i zaniedbania sprawy w poprzednich latach okazało się, iż zadanie bynajmniej nie jest tak proste jak by się zdawało; okazało się np., iż oryginalne rękopisy Chopina zostały rozsiane po świecie i wielu z nich nie wiedziano nawet gdzie szukać. Specjalny problem stanowiły wydania pośmiertne. Zostały one przeważnie uskutecznione przez bliskiego przyjaciela Chopina Fontanę i w tej wersji się ustaliły. Otóż porównanie tych wydań z nielicznymi zachowanymi rękopisami chopinowskimi wykazało, iż Fontana był wierniejszym przyjacielem niż wydawcą i częstokroć samowolnie zmieniał tekst. Wzbudzało to uzasadnione wątpliwości w stosunku do utworów pośmiertnych, których rękopisy się nie zachowały i dla których nie było sprawdzianu nawet w wydaniach, które by Chopin był mógł sam jeszcze skontrolować. I oto wytworzyła się sytuacja niemal niewiarogodna: dla ustalenia autentycznego tekstu dzieł jednego z najlepiej znanych i najbardziej grywanych kompozytorów, mniej niż w sto lat po jego śmierci należało przeprowadzać żmudne poszukiwania i badania co najmniej jak gdyby chodziło o jakiegoś antycznego i przypadkiem odkrytego autora.

W takich warunkach zbożne chęci i dobre postanowienia nie wystarczały. Dowodem może być jedno z ostatnich zbiorowych wydań chopinowskich dokonane przez Ganche'a. Wielki ten miłośnik muzyki chopinowskiej i kolekcjonista chopinianów postanowił oprzeć nowe wydanie Chopina na autentycznych źródłach i oczyścić tradycję. W istocie jego wydanie, dokonane przy współpracy kilku muzyków francuskich (sam Ganche był lekarzem), dość znacznie różniło się od ogólnie znanych wersyj. „Odkrył“ Ganche w posiada-



J. Paderewski i J. Turczyński przy pracy nad nowym wydawnictwem dzieł Chopina. Zdjęcie na tarasie u Paderewskiego w Riond-Bosson w lipcu 1939 roku.

nych przez siebie źródłach wersje zupełnie nieoczekiwane, niekiedy wręcz nieprawdopodobne w swym „moderniźmie“. Tajemnica niektórych z tych odkryć wyjaśniła się później i jeszcze do tego powrócimy. Na razie zaznaczyć tylko należy, iż jego wydanie sprawy ustalenia autentycznego tekstu nie rozwiązało.

W takim momencie powstał w Warszawie z inicjatywy M. Idzikowskiego „Instytut Fryd. Chopina“, który za jeden ze swych głównych celów uznał dokonanie wzorowego wydania dzieł Chopina. W 1935 roku zarząd Instytutu zwrócił się do Paderewskiego z prośbą podjęcia się redakcji wydawnictwa. Paderewski, świadom trudności i odpowiedzialności, odpisał natychmiast odmownie, nie czując się na siłach w swoim wieku do tak wyczerpującej pracy. Wskazał natomiast jako odpowiedniego redaktora prof. Turczyńskiego. Turczyński propozycję Instytutu przyjął i zaprosił do współpracy dra Ludwika Bronarskiego. Postawił jednak za warunek, iż naczelne kierownictwo obejmie Paderewski jako największy autorytet światowy. W tym celu udał się natychmiast do Morges i osobiście przedstawił Paderewskiemu cały plan pracy z Bronarskim.

Po dłuższych rozmowach i dokładnym rozważeniu sprawy Paderewski zgodził się na wzięcie udziału w pracach w charakterze najwyższej instancji przy definitywnym ustaleniu tekstu. Praca więc została podzielona w sposób następujący: każdy utwór po dokładnym przejrzeniu, porównaniu z rękopisami Chopina i z pierwszymi wydaniami był przedkładany Paderewskiemu, który po dokładnym zbadaniu materiału decydował o tym, jaka wersja ma być ostatecznie przyjęta, a które odchylenia mają iść do komentarzy. W ten sposób oszczędzano mu żmudnych prac przygotowawczych, a równocześnie dostarczano wszystkich danych potrzebnych do powzięcia ostatecznej decyzji. Na konferencje z Mistrzem Turczyński i Bronarski udawali się osobiście do Morges.
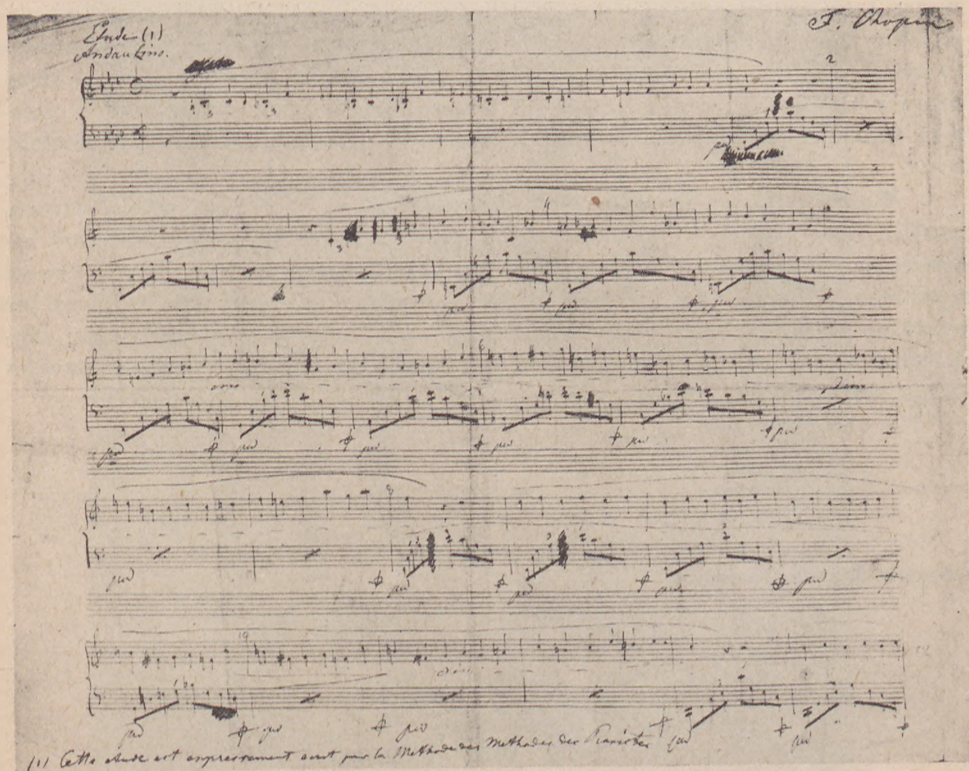
Przy takiej organizacji prace postępowały szybko. A trudności były nie małe. Turczyński i Bronarski musieli zredukować do minimum swoje zajęcia, by niemal cały czas poświęcić wydawnictwu. Pierwszym zadaniem było zgromadzenie źródeł. Z inicjatywy Instytutu Rząd polski zakupił wszystkie rękopisy chopinowskie, które były w posiadaniu firmy Breitkopf i Haertel. W kolekcji tej brakowało jednak wielu utworów. Sporo materiałów sfotografowano w Paryżu, Londynie i Berlinie. Ale i to jeszcze nie było wszystko. Godna zanotowania jest historia znalezienia niektórych rękopisów. Wiadome było np., iż rękopis Preludiów znajdował się w posiadaniu Scholtza, redaktora chopinowskiego wydania Petersa. Po śmierci Scholtza wdowa jego rozsypała popioły zmarłego męża w jego pokoju, zamknęła pokój i nie tylko nie pozwalała tam nic ruszać, ale nie pozwoliła nawet nikomu wejść. Potrzeba było dwuletnich zabiegań, aby uzyskać wreszcie jej zgodę na sfotografowanie rękopisu znajdującego się w mężowskiej spuściźnie. I oto po dokładnym zbadaniu tego z takim trudem zdobytego rękopisu Bronarski stwierdził z całą pewnością, iż nie był to autograf Chopina, lecz autoryzowana kopia. Poszukiwania trzeba było zacząć na nowo, tym razem nie wiadomo gdzie.

Punktem wyjścia była znajdująca się w wydanych przed kilkudziesięciu laty „Dziejach muzyki polskiej" Polińskiego fotografia autografu 7-go Preludium Chopina. Z faktu tego wywnioskował Bronarski, iż Poliński musiał mieć w ręku rękopis Preludiów, który wobec tego powinien się znajdować w Warszawie. W tym przekonaniu zwrócił się do kierownika działu muzycznego Biblioteki Narodowej, dra Pulikowskiego aby przewertował jeszcze nieskatalogowane i znajdujące się w piwnicach biblioteki zbiory nut. Początkowe poszukiwania nie dały żadnego rezultatu, lecz po miesiącu rękopis się znalazł. Podczas gdy go szukano po całym świecie, leżał on w kącie piwnicy Biblioteki Narodowej.

Niemniej ciekawe były poszukiwania autografu Ballady As-dur. W paryskim Konserwatorium znajduje się rękopis Ballady, który był skopiowany przez Saint-Saëns'a podobno z autografu Chopina. To też Ganche w swoim wydaniu oparł się na wspomnianym rękopisie. Wersja ta zawiera jednak absurdalne błędy, co pozwalało przypuszczać, że albo Saint-Saëns się pomylił albo oryginał nie był chopinowskim autografem. Otóż pewnego razu, rozmawiając w Warszawie z Romanem Jasieńskim, obecnym dyrektorem Polskiego Radia, wspomniał Turczyński przypadkowo o kłopotach z Balladą As-dur. Na to Jasieński oświadczył, iż w swoim czasie, jeszcze jako młody człowiek, widział autograf Ballady u hr. Ostrowskiego. Nie mógł jednak sobie przypomnieć, u którego Ostrowskiego to było. I oto Turczyński, z książką telefoniczną

w ręku, zaczął na chybi trafi dzwonić do wszystkich Ostrowskich. Przy dwunastym telefonie natrafił na właściciela rękopisu i rękopis okazał się istotnie autorskim autografem. Nie było w nim żadnego z błędów przyjętych przez Ganche'a jako „autentyczna wersja".

I jeszcze jeden ciekawy szczegół. Ganche, wydając pierwszą Etiudę Chopina, skomponowaną dla „Metody" Moschelesa i Fétisa, zaznaczył, iż opiera



Etiuda f-moll Chopina w-g autografu w posiadaniu p. Artura Hedley'a w Londynie

się na rękopisie. Posiadacz autografu Chopina, angielski muzykolog A. Hedley, stwierdził istotne rozbieżności między wydaniem Ganche'a a znanym mu autografem. Ganche utrzymywał nadal, iż opiera się na oryginale, Hedley jednak, który sprawę tę poruszył w prasie, wykazał że Ganche mógł znać tylko reprodukcję autografu dołączoną do monografii Niecksa o Chopinie. Ślepo zawierzywszy reprodukcji, która jako litografowane facsimile a nie fotograficzne odbicie nie była dość wierna, Ganche skopiował ją dokładnie, ze wszystkimi błędami!

Przytoczone wyżej przykłady dają pojęcie o tym, jak skomplikowana była sama praca wstępna. Ale żmudne badanie każdego taktu, każdego szczegółu, łuków, pisowni akordów, palcowania itd. dopiero teraz się zaczęło. Wszystkie różnice, jakie źródła wykazują między sobą, należało ściśle zbadać i omówić w komentarzach, które przygotowywano w trzech językach. I gdy wreszcie cały

materiał był zgromadzony i gruntownie zanalizowany, rozpoczynały się narady z Paderewskim, który na nowo dyskutował każdy problem, wnikał w każdy szczegół, żądając dowodów dla każdej zaakceptowanej wersji. Rozważał z całą uwagą tezy poprzednich wydawców i mimo iż np. nie przyjął wersyj Ganche'a, w swej wrodzonej delikatności zabronił wszelkiej polemiki z tym zasłużonym skądinąd badaczem Chopina.

Do końca 1939-go roku Preludia, Ballady, Scherza, Sonaty, Etiudy, Walce i Impromptus były gotowe do druku. Preludia i Ballady zostały już wysztychowane. Po wybuchu wojny praca mogła być kontynuowana, ponieważ Bronarski i Turczyński znajdowali się w Szwajcarii. Mimo coraz gorszego stanu zdrowia Paderewski pracował dalej i jeszcze przed swym wyjazdem do Ameryki złożył pisemną deklarację przyjmującą i aprobującą do druku ustalony tekst.

Wobec dokonanej pracy wydrukowanie tekstu jest już sprawą wtórną. Instytut im. Chopina wznowił już swoją działalność w Warszawie. Miejmy nadzieję, iż na stulecie śmierci Chopina, które nastąpi za trzy lata, pierwsze krytyczne wydanie dzieł Chopina będzie dokonane. Paderewski nie ujrzy już wyników swej ostatniej pracy muzycznej. Ale muzyka polska będzie zawdzięczać tej szczęśliwej okoliczności posiadanie wzorowego wydania utworów swego największego kompozytora.

Krzysztof Jałowiec (Szwajcaria)

Agonia pod kloszem

Jakże się wolno piasek sypie w próżnię
klepsydry oczekiwania!
Kolory więdną. Spełzły plamy różu.
Sentymentalny ziewa banał.

Słychać szept włosów siwiejących w mroku
żałości zgrzytliwej i rdzawej —
Cyklop tęsknoty o spłowiałym oku
różańcem czasu się bawi.

Na szybach grają łez wystygłe ślady
splątane w drżące rabaty —
Myśli przykryte kloszem rezygnacji
gasną. Jak suche kwiaty — —



Kamil Witkowski „Rytm". Głowa



Maria Duninówna „Ryt“. Kompozycja

Dr Ludwik Bronarski (Szwajcaria)

Paderewski w anegdocie

Bądźmy szczerzy i przyznajmy się, że w biografiach wielkich i sławnych ludzi najwięcej pociągają nas — anegdoty. Najchętniej je czytamy, wyławiamy je nawet nieraz, jak rodzynki z ciasta, i najlepiej je zachowujemy w pamięci.

Nic w tym dziwnego. Są to zazwyczaj obrazki żywcem uchwycone, które zawierają jakieś zajmujące, niepowszednie wydarzenie (a w wydarzenia takie żywoty ludzi wybitnych, ponad przeciętną miarę wyrastających, bardziej obfitują od żywotów ludzi zwykłych i przeciętnych), często o humorystycznym zabarwieniu. Są to nieraz istne oazy na szarych, suchych przestrzeniach tekstu (niestety, wielcy ludzie mają przeważnie małych biografów).

Ale co ważniejsza, anegdoty ukazują nam postać „portretowaną“ w żywym świetle, przyczyniając się do szczególnie wyrazistej charakterystyki. Stąd pochodzi, że biografowie czasem nie gardzą i wątpliwej autentyczności anegdotami, jeżeli one jakiś rys „bohatera“ w szczęśliwy sposób mogą uwydatnić. Stąd też pochodzi, że niekiedy jedną i tę samą anegdotę znajduje się w biografiach różnych osobistości. I jeżeli surowy, sumienny historyk nieraz stwierdzić musi, że w danej anegdocie jest więcej *Dichtung* jak *Wahrheit*, to często musi także przyznać, że *se non è vero, è ben trovato*.

W tym zeszycie „Horyzontów“, który pragnie oddać cześć pamięci Paderewskiego i pamięć tę ożywić, chcielibyśmy, aby postać Mistrza, taka niezwykła i interesująca, taka piękna i szlachetna, i tak nam droga, jak najwyraziściej wystąpiła. Sądzimy, że lepiej cel ten osiągniemy, gdy zamiast suchego encyklopedycznego powtarzania życiorysu „od kolebki do grobu“, wskrzesimy postać Paderewskiego przy pomocy pokłosia anegdot.

Jeden z dziennikarzy powiedział w nekrologu Paderewskiego, że niepospolity ten człowiek już za życia stał się przedmiotem legendy, i że krążące o nim anegdoty mogłyby wypełnić spory tom. Wbrew znanej definicji, że „anegdota jest to opowiadanie po raz tysiączny słyszane“, przypuszczamy, że anegdoty niżej powtórzone z życiorysów Paderewskiego i z licznych o nim artykułów będą czytelnikom „Horyzontów“ bardzo mało znane.

* * *

Już samo nazwisko Paderewskiego związane jest z pewną ciekawą anegdotą. Oto w 1860 r. udała się podobno do cara delegacja wybitnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego w celu wyjednania zmiany kursu w polityce carskiej i uzyskania pewnych swobód. Aby od razu rozwiać wszelkie złudzenia i nadzieje, car odpowiedź swoją rozpocząć miał od słów: — *Pas de rêves, Messieurs!* (Porzućcie wasze marzenia, panowie!). Otóż tego samego dnia urodził się właśnie Ignacy J. Paderewski (*Pas-de-rêves-ski*), ten który do urzeczywistnienia „marzeń“ o wolności Polski miał tak bardzo wybitnie się przyczynić. Przyniósł on ze sobą na świat niejako w samym nazwisku swoim pamięć krzywd narodu, to co miało być mu w całym życiu pobudką do działania, hasłem do czynu i bodźcem do walki z ciemięzcą.

Wspomniane powiedzenie carskie należy prawdopodobnie zaliczyć do tych słów „historycznych“, które nigdy nie zostały wyrzeczone, a samą anegdotę do tych faktów, które nigdy się nie wydarzyły. Również do dziedziny legendy należy opowiadanie o zachowaniu się Paderewskiego na koncercie dworskim w Petersburgu. Paderewski grał przed carem. W pewnej chwili spostrzegł, że monarcha zaczyna rozmawiać z kimś z otoczenia. Gdy rozmowa się przeciągała, Paderewski zdjął ręce z klawiatury i w skupieniu czekał. Gdy ktoś ze świty, czy nawet sam car, zapytał go wreszcie, czemu nie gra, Paderewski miał odpowiedzieć: — „Kiedy Najjaśniejszy Pan mówi, nam milczeć należy!“ Po koncercie polecono mu jak najśpieszniej Petersburg opuścić.

Ale tę samą anegdotę opowiadają i o Antonim Rubinsteinie. Jest to może jeden z „wędrujących motywów“ anegdotycznych. Jeżeli jednak przylgnęła ona i do Paderewskiego, to dlatego, że uznano go za zupełnie zdolnego do takiego postąpienia. Że Paderewski przerywał grę, gdy mu przeszkadzano, o tym wiedzą dobrze bywalcy jego koncertów... W Lozannie, skoro po skończonym recitalu zamierzał dodać na *bis* Walca chopinowskiego, a ktoś z pierwszych rzędów wstał, aby wyjść ze sali, Paderewski dwa razy przerwał zaczętego Walca i dopiero za trzecim razem w całości go wykonał. We Lwowie razu pewnego przerwał Nokturn Chopina w połowie, czekając (audytorium struchlało...) aż dwaj panowie w pobliżu siedzący skończyli rozpoczętą rozmowę.

Ten sam szacunek dla wykonywanego dzieła, jakiego Paderewski wymagał od publiczności, sprawiał, że nie był on skłonny do ustępstw z uszczerbkiem dla dzieła sztuki, nawet gdy wchodziły w grę motywy natury politycznej. Dowodem tego było wydarzenie w czasie jednego z koncertów, jakie Paderewski dawał w Australii. Na sali zjawił się gubernator, ale z dość znacznym spóźnieniem. Paderewski grał Chopina. Etykieta wymagała, aby koncert przerwano i aby hymnem *God save the King* powitano reprezentanta królewskiego. Paderewski wiedział o tym, ale wykonywanego utworu nie przerwał. Gubernator uczuł się tym urażony. Dopiero jakiś zręczny dyplomata wytłumaczył mu, że Paderewski jako były prezydent ministrów, odznaczony bardzo wysokimi orderami, także brytyjskimi, wyższy jest „rangą“ od gubernatora i miał prawo tak postąpić. Wszakże dla uniknięcia podobnego konfliktu Paderewski następny koncert sam rozpoczął odegraniem hymnu angielskiego, co wywołało szalony entuzjazm publiczności.

Ale cofnijmy się jeszcze we wczesną młodość Mistrza. Już jako 10-letni chłopiec Paderewski był gorącym patriotą o zdecydowanie zarysowanej „orientacji“ politycznej. W czasie ówczesnej wojny francusko-niemieckiej (1870) nie tylko życzył sobie gorąco zwycięstwa Francuzów, ale i wierzył w nie niezachwianą wiarą. Ojciec jego chorował wówczas na oczy i nie mogąc czytać gazet, kazał sobie czytać wiadomości z pola walki. Ponieważ wiadomości te stawały się z dnia na dzień coraz gorsze, Ignaś, aby ojca nie martwić, począł interpretować komunikaty wojenne w myśl swoich i ojca pragnień, głosząc z triumfem urojone zwycięstwa francuskie. Po kilku dniach ojciec, zmuszony udać się do pobliskiego miasteczka, dowiedział się tam o właściwym stanie rzeczy i, wróciwszy do domu, rozgniewany zabierał się do wymierzenia sprawiedliwości za wprowadzenie go w błąd. „Jak Abraham mający cios śmiertelny zadać Izaakowi na miejscu ofiary — pisze Opieński w swej biografii Paderewskiego — ojciec podnosił już rękę, aby godzić w syna, kiedy nagle

ukazał się anioł z niebios zesłany pod postacią innego syna abrahamowego, a mianowicie żydka golibrody Spritza, człowieka o usposobieniu pojednawczym i łagodnym mimo ostrych brzytw, jakimi biegle władał. — Dlaczego pan chce bić to dziecko? — pytał. — Gdyby ono było mówiło prawdę, byłby pan z pewnością płakał ze zmartwienia i choroba oczu byłaby jeszcze gorsza. Niech mu pan przebaczy! On zbłądził ze zbytku dobroci, a nie ze złości. — Wobec tak wymownej obrony wypadło ojcu narzędzie sprawiedliwości z wzniesionej prawicy i dziecko znalazło przebaczenie“.

Następujące opowiadanie odnosi się do czasów znacznie późniejszych, kiedy Paderewski bawił już na studiach u Leszetyckiego, w Wiedniu. Na wakacje letnie wyjechał do Zakopanego i tutaj starał się zapoznać bliżej z muzyką ludową. Najwybitniejszym jej reprezentantem był wówczas w Zakopanem słynny Bartek Obrochta. „Pan Chałubiński prosił Bartusia — tak o tym później pisał F. Gwiżdż — żeby zaznajomił Paderewskiego z oryginalną góralską muzyką; „ino żebyś nie brał od niego żadnego wynagrodzenia, ja cię już wynagrodzę“ — powtarzał Bartuś słowa Chałubińskiego. „Ale ta choćbyś kcioł, tobyś ni mioł co wzionć. Pan Paderewski młodziuśki był, mioł se ino stancyjkę, a w ni łóżko, stół, krzesło, fortepian i herbatę. Bier-ta od takiego! A pojętny był okrutnie: co jo nute wywiede, on ją już chwycił. Jo pod nogę, on pod nogę. Te palce to mu ino śmigały po tym fortypianie... Grołek mu sporo razy. I on to wicie tak pöchytoł i tak poskrodoł, ze całom muzykę z tego zrobił...“

Mowa tu o tym ślicznym *Albumie Tatrzańskim*, zbyt mało znanym i cenionym nawet w samej Polsce — jak to zresztą dzieje się i z wielu innymi utworami Paderewskiego, które zasługiwałyby stanowczo na większe uznanie i rozpowszechnienie. Jeden tylko jego Menuet zyskał sobie sławę światową i należy do najpopularniejszych utworów w ogóle. Ma on też swoją ciekawą historię. Aleksander Świętochowski, który był gorącym wielbicielem Mozarta, tak opowiada o powstaniu tego Menueta: „Między współczesnymi kompozytorami jeden jedyny potrafił dorównać Mozartowi, a to nasz Paderewski w swoim Menuecie. Miałem szczęście przyczynić się nieświadomie do jego powstania. Paderewski, kiedy jeszcze był profesorem w Konserwatorium warszawskim, odwiedzał mnie często. Pewnego dnia rozmawialiśmy o Mozarcie i ja z impertynencją, która okazała się szczęśliwą w swych skutkach, zauważyłem, że dzisiaj żaden kompozytor nie potrafiłby dorównać Mozartowi — owszem, że bardzo im do tego daleko! W odpowiedzi na to Paderewski wzruszył tylko ramionami. Ale nazajutrz przyszedłszy znowu do mnie, zasiadł do fortepianu i rzekł: — Zagram Panu krótki utwór Mozarta, którego Pan według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze nie zna... I zagrał Menueta. Byłem zachwycony i zawołałem: — No, niechże mi Pan powie! Czy dzisiaj ktoś mógłby napisać coś podobnego? — Sądzę, że tak — odrzekł Paderewski — bo ten menuet — to moja kompozycja!...“

Entuzjazm Świętochowskiego łatwo zrozumieć można. Ale trzeba też przyznać, że Świętochowski był widocznie większym pisarzem, niż muzykiem. Bo tylko to tłumaczy nam, że niewinna mistyfikacja Paderewskiego udać się mogła. W rzeczywistości bowiem Menuet jego jest bardzo mało mozartowski. Nie jest to ani kopia, ani naśladownictwo. Jest to zbyt polski menuet, z tymi kwintami w basie, które mu nadają niemal charakter mazurka, albo z tym cieniem słowiańskiej melancholii w triu. (Warto zwrócić uwagę na fakt, że

i Menuet Chopina w jego Sonacie c-mol, jedyny jaki napisał, wpada także w ton mazurkowy). Nawet jeśli Paderewski naprawdę chciał stworzyć coś w rodzaju Mozarta, to stworzył przede wszystkim coś zupełnie osobistego, nie pozbył się swojej oryginalności, co tylko za zasługę poczytać mu należy.

Jak wiadomo, Paderewski przez pewien czas udzielał u siebie w Riond-Bosson, oczywiście bezinteresownie, nauki fortepianu kilku szczególnie uzdolnionym młodym muzykom, którzy dziś należą do najwybitniejszych polskich pianistów. Barwne i żywe obrazki z tych lekcji umieścił Rom. Landau w swej książce o Paderewskim. Oto dwa takie obrazki, które dobrze charakteryzują Mistrza. W czasie lekcji Paderewski bywał surowy, wymagający, bardzo krytyczny i uwagi jego były czasem zaprawione gryzącą ironią, ale często i humorem. „Jeden z uczni, im bardziej Paderewski go poprawiał, tym bardziej się denerwował i robił błąd po błędzie. Po półgodzinnych daremnych wysiłkach Paderewski zaczynał tracić cierpliwość, lecz zamiast wybuchnąć gniewem, odzywa się z druzgocącą pogodą ducha: — Jeżeli pan nie przestanie lekceważyć moich wskazówek, nie dostanie pan zupy przy obiedzie! — Naprężenie prysło od razu. Pozostali uczniowie pokładali się ze śmiechu, bo delikwent znany był ze smakoszostwa i rozkosze podniebienia niemal tyle dlań znaczyły, co postępy w muzyce“.

Innym razem „podczas lekcji Paderewski zauważył, że jeden z uczni gra szczególnie źle, z wyrazem naprężenia w twarzy. „Co z panem się dziś dzieje?“ zapytał ze spojrzeniem pełnym współczucia. Z pewnym wahaniem uczeń wyjaśnił, że w nocy źle spał i że głowa mu pęka od bólu. Paderewski wstał z krzesła i zawołał: „Ależ czemu mi pan zaraz tego nie powiedział? Na ból głowy łatwo poradzić. Proszę za mną, zaraz pana wyleczę“. Poprowadził młodego człowieka do swej sypialni, posadził go na krześle i, stanąwszy za nim, zabrał się do masowania mu głowy i karku. Zaambarasowany młodzieniec zaczął upewniać po paru minutach, że ból głowy już mu przeszedł. Ale Paderewski odpowiadał niezmiennie: „Nonsens, kochany chłopcze. Nie mówi mi pan prawdy. Sądzi pan, że już się zmęczyłem. Wiem doskonale, że pana głowa ciągle boli“. Nic mu nie pomogły wykręty. Uczeń musiał się poddać masowaniu, które trwało ze dwadzieścia minut. I rzeczywiście ból głowy w końcu ustąpił. Paderewski był uradowany pomyślnym wynikiem i cały ten dzień był w doskonałym humorze“.

Przysłowiową swoją dobroć i szlachetność serca okazał Paderewski i w następującej okazji. Przechodząc ulicą w Londynie, ujrzał napis: *Miss Stimson, prof. fortepianu, uczennica Paderewskiego, na II-im piętrze.* Zaintrygowany Paderewski wszedł na górę, zadzwonił. Sama Miss Stimson otworzyła mu drzwi. Paderewski znalazł się przed osobą jemu zupełnie nieznaną. Ale miss zachowaniem się swoim od razu okazała, że przybysza poznała. Co widząc, Paderewski rzekł: — Myślałem, że odświeżę jakąś dawną znajomość, ale widzę, że się nie znamy“. Niemłoda miss, wybuchając płaczem, z trudem odezwała się: „Mistrzu, przebacz! Ja utrzymuję się tylko z lekcyj. Chciałam sobie w ten sposób pozyskać więcej uczni...“ Paderewski udobruchany, wzruszony, każe swej rzekomej uczennicy zagrać mu cokolwiek. Zaraz w pierwszym takcie ma sto uwag do poczynienia, cierpliwie poprawia, co poprawić można, przez dwie godziny biedzi się i mozoli. Wreszcie odchodzi zadowolony i, żegnając się z miss, powiada: „Teraz pani ma prawo nazywać się moją uczennicą!“



Wiktor Podoski „Ryt". Martwa natura



Paweł Gajewski „Niestowarzyszeni". Jesień

Znane jest też wydarzenie następujące. Dnia pewnego otrzymał Paderewski w swojej posiadłości Riond-Bosson list dość nieoczekiwanej treści. Oto jakiś fermier z okolicy donosił mu, że wkrótce zamierza się żenić i szuka muzyki na wesele. Dowiedziawszy się, że Paderewski dobrze gra na fortepianie, zapytuje, czy Paderewski mógłby przybyć na dzień oznaczony i jakiego żądałby wynagrodzenia. Trudno przypuścić, żeby propozycja taka była naprawdę wynikiem nieświadomości. Ale Paderewski całą sprawę wziął z humorystycznej strony. Kazał wystosować list, w którym tłumaczył się, że gra na weselach nie jest jego specjalnością i że zawód sprawiłby młodej parze i jej gościom. Aby zaś osłodzić odmowną odpowiedź, dołączyć kazał do listu, ze zwykłą sobie hojnością, prezent weselny dla nowożeńców.

Zabawną też przygodę miał Paderewski z pewnym małym pucybutem, który mu się narzucał z oczyszczeniem obuwia na ulicy. Paderewski ubawiony zachowaniem się malca, który mu się podobał, odrzekł: „Moje buty są czyste. Ale ty dobrze-byś zrobił, gdybyś się porządnie umył. Idź tam do studni, obmyj się, a dam ci dolara!“ Chłopak żwawo poskoczył, oczyścił zamorusaną twarzyczkę i co prędzej wrócił po obiecany pieniądz. Ale obserwując uważnie bujną fryzurę Mistrza, powiada: „Niech pan z mego dolara zatrzyma sobie tyle, aby mógł sobie dać włosy ostrzyc!“

Za autentyczność tej anegdoty ręczyć byłoby trudno. Jest ona prawdopodobnie tylko humorystyczną aluzją do „lwiej grzywy“ Paderewskiego, która była równie sławna jak jego muzyka. I zanim publiczność do niej przywykła, obudzała ona sensację, a czasem i pewien niepokój u organizatorów *tournées* artystycznych Paderewskiego. Podobno pierwszy impresario, który urządzał koncerty Paderewskiego w Nowym Świecie, żywił poważne obawy, czy niezwykły jego wygląd nie będzie mu przeszkodą w zjednaniu sobie sympatii i uznania amerykańskiej publiczności. Rychło jednak okazało się, że niepospolita aparycja Paderewskiego nie tylko nie odstręczała mu publiczności, ale może i w pewnej części przyczyniała się nawet do obudzania zachwytu i entuzjazmu. Pojawienie się Paderewskiego na estradzie działało zawsze na publiczność elektryzująco. „Król fortepianu“ miał coś iście królewskiego w swoim wystąpieniu równie pełnym godności i nawet majestatu, jak i dystynkcji i prostoty. Wiadomo też, że rzeczywiście niemal królewskie honory mu oddawano.

„Gdy Paderewski dawał serię koncertów na rzecz inwalidów wojennych w Belgii (tak pisał o tym A. Grzymała-Siedlecki), był gościem Alberta I w pałacu królewskim. Kapituła najwyższego orderu belgijskiego uchwaliła obdarzyć Paderewskiego wielką wstęgą tego orderu. Przepis wymaga, aby obdarowany stawił się przed królem dla odebrania insygniów. Albert I postanowił, że wobec Paderewskiego przepis musi być zmieniony: nie on stawi się przed królem, lecz król przed nim. Na godzinę przed koncertem brukselskim zaanonsowano Paderewskiemu wizytę monarchy i do pokojów naszego rodaka wszedł Albert I, własnoręcznie niosąc dlań wielką wstęgę. Gest ten — dodaje autor — to świadoma potrzeba pokłonu przed człowiekiem, który zasługuje na pokłon królów“.

Bo to, co Paderewski powiedział o Sienkiewiczu, że był to „król bez korony i wódz bez miecza“, to samo i do niego samego odnieść można.

O Brdzie

Bór się boryka z nurtami Brdy
Brda, cicha woda, co brzegi rwie,
prąd wartki toczy, szumi i mknie
przez moje sny.

Głębią się mieni srebrzysty pas,
któremu pstrągi podbiły spód —
dąb grzywę nurza w zawojach wód,
rozpruł je głaz.

Wreszcie flisacy — rysunkiem pni
zwalonych w rzekę, suną jak sen
w odbiciu mgłami zasnutych scen
i tamtych dni.

Wspomnienie o pawiach

Powiadali: Nie kupuj, nie zabieraj pawi,
pawie niosą nieszczęście. Krzyk ich bliski trwodze
w parku duchy obudzi, w domu się objawi
będzie straszyć... I pióra pogubią po drodze.

Od poety dostałem tęczowych parę ptaków.
Krzyczały przenikliwie, aż ludziom cierpła skóra.
A ja nie wierzę w czary, ni w złych przestrogę znaków.
Jest lato na Pomorzu... I w czapkach pawie pióra.

Aż serce mimo woli lęk zdławił nierozumny.
I znowu krzyczą pawie w snach, w dali, w niepamięci
gdy dom — umarły stoi. Nie trzeba sercu trumny
wygnano z niego miłość i już się pustką świeci
a w pustce — z czyjej winy? — drży jeszcze, drwi i dławi
ten głos, ten krzyk, to echo nieszczęsnych moich pawi.

Jarosławowi Iwaszkiewiczowi

Andrzej Chciuk (Fracja)

WIELKIE I MAŁE

Każdy wie, że Drohobycz leży daleko od zachodniej granicy.

Jędrek wiedział to najlepiej, bo był drohobyczaninem i teraz, gdy z głośnika usłyszał słowa orędzia Prezydenta, że „nocy dzisiejszej odwieczny wróg wtargnął w granice Rzeczypospolitej“ i gdy przez zaspany mózg przebiegło radosne słowo: wojna, teraz Jędrek poczuł pretensje, sam nie wiedział do kogo, że Drohobycz, jego Drohobycz, leży tak daleko, że nie jest na miejscu Zbąszynia, Bielska, Częstochowy, a choćby Poznania.

Przetarł zaspane oczy i przez okno zobaczył ten sam stary widok: poranne słońce złociło ciemne szkliste liście dużej gruszki a u Langermanów na dachu ciekły po blachach lśniące smugi wilgoci. Tak samo jak zawsze odezwała się sygnaturka na mszę w pobliskim klasztorze, chłodne powietrze poranku było takie samo, kwiatki na oknie też były tylko kwiatkami, a pani Karpińska tłukła się na górze jak codzień, może nawet więcej: przesuwała krzesła, chodziła i skrzeczały u niej trzaski radia. Wszystko jak zawsze -- tylko twarz Matusi inna.

Chwilę obserwował Jędrek Matkę. Po prostu leciało jej wszystko z rąk, pochlipywała sobie po kątach, odwracając się do niego tyłem i myśląc, że nie widzi, sięgała ukradkiem po chusteczkę. Łzy, które ciekły po policzkach, osiadały na wargach, połykała je, a nowemu ich napływowi sprzeciwiała się aż przeczącym ruchem głowy. Wreszcie na jego zdziwione spojrzenie, ostentacyjnie głośno wysiąkała nos i starała się uśmiechnąć. Odpowiedział radośnie Jędrek uśmiechem, ale dziwił się dalej, że stare matczysko pochlipuje sobie. Bo co? Że wojna? Że Władek, który już skończył podchorążówkę w Dęblinie i mógłby już pomagać młodszym braciom w studiach, jest w Krakowie i poleci na front na pierwszy ogień? To co? — „To ja mu zazdroszczę. Zresztą on tyle przeszedł i my go tak kochamy, że nic mu nie będzie“.

— Matusiu, Władka na pewno mianują podporucznikiem, już nie pojedziemy na promocję do Dęblina. Władek ma już gwiazdkę — powiedział tonem znawcy.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Nie ma się co martwić, jego na pewno w Krakowie nie ma, na pewno już gdzieś sobie używa...

Mruknął niezdecydowanie, gdy stwierdził, że na jego pocieszanie pochlipywała sobie Matusia głośniej, przyłożyła chusteczkę do oczu i powlokła się do kuchni. I—iiii, zaraz płakać...

Z głośnika dudniły marsze dziarskie, wesołe i ufne. Zaczął sobie leżąco dyrygować i nogą wybijać rytm na blasze łóżka. Łóżko Dzidka stało przy tej samej ścianie zestawione jedno za drugim. Dzidka oddzielały od Jędrka tylko

blachy i dwa rzędy mosiężnych kulek na poręczach. To są staroświeckie łóżka, jeszcze z Matusinej wyprawy. Mają wymalowane jakieś kwiatki, ale stoją do siebie tymi malowidłami, tak, że ich nie widać.

Marsze są ładne, słońce na emaliowanych liściach gruszki jest złote, a wojna wreszcie jest! Przeszedł przez plecy zimny dreszcz, jakby poważniejsze myśli zaczynają zajmować mózg — ale patrzy się Jędrek w lustro, stojące w rogu pokoju i widzi tego samego Jędrka, tę samą kręcącą się czuprynę, tę samą okrągłą twarz, ten mały zarost na piersiach, wyłażący przez rozchełstaną nocną koszulę — i śmieje się sam do siebie.

W drzwiach stoi matka i uśmiecha się pieszczotliwie do dwóch synów, jakby licząc, że z gromadki czterech, dwóch jeszcze zostało, tylko dwóch, przynajmniej dwóch, ale że wojna i ich weźmie — i twarz jest jakby spokojna, tylko oczy mówią i mówią więcej, mówią o latach wychowania, o trudach, o łzach matczynych i uśmiechach — po których przychodzi wojna.

Żal się robi Jędrkowi i chce ją pocieszyć.

— No, przynajmniej o Antka może być Matusia spokojna, jest w Samborze, jeszcze jest niedaleko.

A Dzidek mruczy ze swego łóżka:

— Nie ma się Matusia co martwić, bo my dwaj też pójdziemy, to spotkamy się tam z nimi, będzie raźniej we czwórkę.

Teraz to nawet przez dźwięki marsza słychać, że Matusia zapłakała. Znowu cofnęła się do kuchni. Tam rozmawia z nią ojciec, wychodzący ze swego pokoju do ogródka.

A więc Dzidek nie śpi już.

— Dzidek?

Dzidka — co? — jest zaspane i znowu niewyraźne.

— Czemu powiedziałeś tak jakoś dziwnie: spotkamy się tam — pyta Jędrek.

— Głupiś... — trzeszczą sprężyny i Dzidek obraca się na drugi bok. Jeszcze fika nogami chwilę i ułożył się już wygodnie. Chrapie.

Dzidek właśnie w czerwcu zrobił dyplom magistra, teraz mu się kończy odroczenie służby wojskowej i z końcem września ma być powołany. Pójdzie do Przemyśla chociaż wolałby gdzie indziej do artylerii, a tak będzie w piechocie. Do egzaminu wkuwał nocami i teraz już trzeci miesiąc odsypia zaległości, robi śpiocha ze siebie. Chociaż, prawdę powiedziawszy, on zawsze „ubóstwiał“ spać. Dzidek jest starszy od Jędrka o cztery lata, ale się kocha w smarkuli Ewie, która dla Jędrka byłaby za smarkata, zresztą nie jest w jego typie. Ale w domu wszyscy to traktują poważnie i to Jędrka złości, bo każdą jego miłość (a miał już ich więcej niż starszy Dzidek) wyśmiewają, gdy on ma już przecież dwadzieścia lat, w styczniu kończy dwadzieścia, więc?... Dzidek przed paru dniami ściął sobie włosy, bo wolał, by mu wojskowy fryzjer nie darł skóry na akord, gdy go powołają za dwa, trzy tygodnie. Więc Jędrek mówi słodziutko:

— Dzidziu, a Ewunia nie płakała, gdy cię zobaczyła tak „na salcesona“?

Dzidek aż siadł na łóżku. Głowa, pomaczkowana ściętymi krótko przy skórze włosami, kiwa się między mosiężnymi kulkami łóżek.

— Czekaj, czekaj — i tobie też zetną te loki i Basia też będzie płakała...

— Basia?... — Jędrek śmieje się sucho — oho, już nie Basia...

— No to Nuna...

— Ani nie Nuna — Jędrek śmieje się dalej.

Dzidek coś zamruczał i mimo protestacyjnych odgłosów sprężyn starego materaca układa się znowu. Ciężko wzdycha i zaczyna ostentacyjnie chrapać.

Ubierając się, myśli Jędrek o Antku i o Jerzyku. Antek jest najstarszym bratem, starszym od Władka i Dzidka. Jerzyk jest najserdeczniejszym kolegą Jędrka. O ile Jędrek jest oszczędny w szafowaniu słowem: przyjaciel — o tyle Jerzyk zasługuje na to w całej pełni. Przyjaźń ich jest naprawdę przyjaźnią. Antek przyszedł w niedzielę w nocy razem z zapłakaną Felą i zapukał do okna. Przyszedł się pożegnać, bo dostał powołanie. Pachniało już wojną wtedy, bo pachniało, ale po co Fela beczała i po co Matusia się rozpłakała. E, jak kobiety... (Chciał pomyśleć: baby — ale zawsze to matka i bratowa). Wtedy Antek był bardzo spokojny i chrząkając powiedział do braci:

— No, do zobaczenia w Berlinie.

Pyskaty Jędrek zdążył wypapłać: Nie będzie wojny, zobaczysz. A w niedzielę przyjedziesz ze Sambora na mecz. Junak gra ze Śmigłym z Wilna o wejście do ligi, przecież wiesz, bośmy i dziś na meczu krzyczeli — A Dzidek powiedział krótko: Na Unter den Linden? Dobrze.

Pocałowali się wszyscy. Ojciec na głos starał się przypomnieć sobie, jak to było z jego powołaniem do austriackiego wojska. Był w pionierach, wszyscy to wiedzieli, ale zdawali się słuchać z uwagą. Dzisiaj mówi się: saperzy. Wreszcie ojciec machnął ręką, co wszyscy przyjęli z ulgą i już było po pożegnaniu. Matusia prosiła Felę, by przed południem przyszła, a Antek jeszcze mówił do wszystkich: uważajcie na Felę i mego Jędrusia — i potem Sułtan zaszczekał na podwórzu, zawtórował mu pies od Gruszkiewicza — i cisza. Matusia nie mogła zasnąć i przez drzwi słychać było jej wzdychanie. Dobrze, że wtedy nie rozwyły się psy na całej ulicy. Byłby harmider.

Wspomnienia w myślach czasem lecą tak szybko, że przez chwilę przewali się ich cały łańcuch, a czasem jedno wspomnienie, nawet nie wspomnienie, a jakiś jego fragment, niewiele lub nic nie znaczący szczegół utkwi w mózgu i zatrzyma bieg wspomnień i myśli, potrafi owładnąć tak, że nic nie można robić, widzieć, rozumieć, tylko to, właśnie to, co zaboli, co zastanowi, co zostanie jak cierń, jak uraz.

Jerzyk bawił się rewolwerem...

Jerzyk po podchorążówce w Przemyślu przyszedł do Drohobycza na praktykę do pułku. Jerzyk jest rówieśnikiem Jędrka, razem chodzili do budy, razem maturę zdawali i dopiero się rozłączyli; Jerzyk do wojska poszedł, a Jędrek na studia. Teraz, na wakacjach od kilku dni spotykali się wieczorem, w mieście, czy w obu domach i raz wieczorem, gdy Jędrek wcześniej wrócił do domu, zastał Jerzego na rozmowie z Matusią. Jerzyk był zniecierpliwiony i co chwilę patrzył na rękę na zegarek.

— No, gdzie ty się włóczysz, chcę się z tobą przecież pożegnać. Muszę się pożegnać, a już jest po dziewiątej.

Nawet Matusia skrzyczała Jędrka, bo „pan Jurek“ czeka już od godziny. Matusia mówiła Jerzykowi „pan“, ale lubiła go bardzo — tak samo mówiła Jędrkowi matka Jerzyka, a ich to honorowanie przez matki bardzo śmieszyło.

— Wyjeżdżacie?

— Tak, jutro rano o piątej, więc chcę się pożegnać, no daj pyska Jędrku.

— Przyjdę rano pod koszary...

— Jak chcesz...

Ta cisza co zawisła między nimi, tak wiele mówiła, a tak męczyła ich obu i Matusię. Głupie są momenty pożegnań. Matusia pocałowała Jerzyka w czoło i błogosławiła go, a potem wyszła do kuchni i coś smażyła Jędrkowi na kolację. Na pewno smażyła coś, bo Jędrek pamięta syk, choć nie wie co to było, chyba ziemniaki do kwaśnego mleka. Wtedy Matusia nawet zapomniała narzekać, że Jędrek się gdzieś włóczy, „że każdy wraca kiedy chce, każdemu rób osobno kolację, każdemu jak w restauracji“ — bo myślała pewnie, że z czterych jej „każdych“ jeden już ubył na własne gospodarstwo, że drugi jest w wojsku i że ci dwaj pójdą na front odrazu z chwilą wybuchu wojny, a pozostali dwaj na pewno wkrótce pójdą z domu — i smażyła ziemniaki nie mówiąc słowa, a raczej modląc się pewnie, by tych dwóch, co jeszcze są, jak najdłużej mogło grymasić i wracać o różnej porze, ale wracać by być tu a nie za domem.

Stali obaj z Jerzykiem w milczeniu, patrząc na siebie. Wreszcie Jerzyk znowu zerknął na rękę, a Jędrek wyrzekł cicho:

— Chodź, to cię odprowadzę do koszar...

Do koszar z domu Jędrka najkrócej szło się przez starą cegielnię. Było już prawie ciemno, w każdym razie szaro i niewyraźnie jawiły się w dole kupy schnących, niewypalonych cegieł, przykryte drewnianymi daszkami i niewyraźnie lśniły się matowe lustra wypełnionych wodą glinianek. Szli górą. Ponieważ równocześnie nie mogli iść obaj wąską wydeptaną ścieżką, więc szli trawą, po bokach. Trawa tłumiła odgłosy podkutych butów Jerzyka, a dziurkowane sandały Jędrka ślizgały się szmerem po trawie. Gdy w uszy uderzył ich już gwar niedalekich koszar, Jerzy przystanął nad glinianką, popatrzył w swe niewyraźne odbicie na wodzie i cicho powiedział:

— Wiesz, mam nowego Visa — i pokazał rewolwer. Rewolwer uczepiony był za kolbę na warkoczyku splecionym z drobnych żółtych rzemyków.

— Tak?... — dziwił się Jędrek.

Dotychczas szli milcząco. Teraz zaczęli rozmawiać szybko o obojętnych rzeczach, nawet nie pamięta już o czym. Mówili szybko, bezładnie, przerywając sobie nawzajem, a niekiedy równocześnie — i nagle obaj zamilkli.

— Jędrek...

Oczy ich spotkały się. W dali szumiało miasto. Tu pod bokiem brzęczały przygotowaniem koszary.

— Dobrze, Jerzyku...

Pod parkanem koszar cisnęli się ludzie. Każdy żegnał kogoś i jak najdłużej chciał być jak najbliżej tego swego drogiego. Były i służące i gimnazjalistki i matki i ojcowie i koledzy. Było dużo ludzi.

— Muszę kogoś op.... — warknął Jerzyk i zaczął besztać najbliższego żołnierza, który przyjmował pakiecik przez sztachety parkanu od jakiejś wiejskiej dziewczyny — już jest po capstrzyku, spać do cholery...

— Panie podchorąży, kiedy bo...

Odciągnął Jędrek Jerzyka, poszukał jego dłoni i ścisnął mocno.

— No, już...

Pocałowali się, tak z dubeltówki.

— Zaczekaj Jędrek, może mi się uda wyjść na chwilę jeszcze.

Jędrek czekał i nie myślał o niczym.

— Pan podchorąży kazał powiedzieć, że nie wróci już — raportował jakiś żołnierz.

Popatrzył Jędrek z wściekłością na pyzatą dobroduszność, wyzierającą spod czworograniastej czapki, mruknął coś niby „dziękuję“ i odszedł przez cegielnię. Trzeba było skakać przez barierę, zamykającą dojazd. Aha, tu wypadł Jerzykowi rewolwer z futerału i zawisł na rzemyku. Będący jeszcze po drugiej stronie Jędrek podał mu go. Jerzyk znów chwilę bawił się pistoletem. Polski Vis. Żelazo było zimne. Ach, co za kretyn ten żołnierz żeby powiedzieć: pan podchorąży już nie wróci... Co za matoł, oferma, przeklęty Jaś. Mógł cymbał powiedzieć: już nie wyjdzie, a nie: nie wróci. Psiakrew!

Dzidek trącił Jędrka w ramię:

— Coś się tak zamyślił: Może zapomniałeś, że się ubierasz.

Jeszcze teraz przeklinał w myślach Jędrek pucułowatego żołnierza.

W radiu była pogadanka z Warszawy o robieniu zapasów na sześć tygodni. Jakaś pani z jakiegoś związku pań, czy gospodyń. Pogadanka była mdła, bo zawsze Jędrek naśmiewał się z Matki, by nie robiła paniki nabywaniem zapasów. I teraz Matusia mówi, że Januszewscy sprowadzili do domu dwa worki mąki i worek cukru i że dobrze było by, gdyby chłopcy, wracając z miasta, wzięli coś nie coś od Jaegera.

Jedząc śniadanie porozumiał się oczami z Dzidkiem. Wyszli obaj. Po drodze do miasta było to samo co zawsze: te same chodniki, przechodzenie ulic w tych samych miejscach co od lat, te same parkany i słupy telegraficzne (na zakręcie był ten sam co zawsze, nadwerężony osiami fur, słup i parę drzazg w kurzu obok), ci sami ludzie i te same uśmiechy od i do znajomych. Koło Czerwonej Szkoły przyczepił się Zbyszek, który czasem się jąka, ale nie za dużo. Dziś jąkał się więcej niż zwykle.

— Idziecie do Pe-pe-pe-ka-ka-u? — To „u“ wypowiedział szybko, jakby triumfująco.

— To nazywa się teraz R. K. U. — tłumaczył powoli Dzidek Zbyszkowi. Dzidek jest nerwus jak cholera, ale lubi bawić się we flegmatyka. — Idziemy do majora.

U Leibendörfera były wywieszki gazet. Wielkie nagłówki z tłustych liter. To samo, co u Balickiego, to co potem u Tannego i Tuhnego i u Bartmańskiej na kiosku. Grupki ludzi koło wywieszek. Wszystko tak samo, wszystko jak zawsze tylko oczy są głębsze, spojrzenia poważniejsze i starsze. Koło afiszów o mobilizacji stają małymi grupkami chłopi, szukając adresu Rejonowej Komendy Uzupełnień — każdy im chętnie ją pokazuje. Dzieci mają raj — bo

są ważne i latają, i pokazują i krzyczą. Jest spokój, ale mimo zakazu sprzedaży alkoholu pachnie wódka i pot, pachnie powołanym z tęgich min spod lichych kaszkietów i pachnie w tłumie przed ratuszem.

Ratusz jest bielszy niż zwykle, piękniejszy i bardziej słoneczny, ale wyrasta z czarnego tłumu oblepiających go Żydów, szwargoczących i dopraszających się łaski nadętego policjanta Machnika, który stoi koło drzwi i robi się ważniejszy niż sam komisarz Szaciłło. Żydzi depcą mu po butach, ale między głowami jest luka — to brzuch opięty w granatowość munduru i klamrę pasa odgradza go od reszty tłumu. Spod czapki płynie pot. Żal robi się Jędrkowi policjanta, bo to ojciec kolegi i posyła mu uśmiech. Na schodach koło ratusza jest ciasno. Z banku wylatuje zdenerwowany Karol, drugi tenor z „Echa", gdzie wszyscy trzej śpiewają.

— Nie widzieliście gdzie Kuczyńskiego?

Kuczyński jest jego prokurentem, ale od paru dni oblókł się w mundur policjanta. I ma granatową czapkę, ale zielony mundur i żółte, nowe saperki. I pomaga właśnie Machnikowi przed głównym wejściem. Co chwila przykłada palec do ust i ślini go, jakby miał zaraz liczyć banknoty i macha ręką, pochylając się w przód, przy czym karabin podskakuje mu na plecach. Ale Lachowicz już go zobaczył i goni do niego.

— Karol! Karol!...

Lachowicz zatrzymuje się i odwraca głowę:

— Czego?

Lecz Zbyszek nie może wystękać, dlaczego go zatrzymał i zniecierpliwiony Karol już rozpycha najbliższych Żydów.

Na Mickiewicza od Pommeranza wypadł Gryl. Jest czerwony, a z czerwienią twarzy kontrastują jeszcze bardziej siwe kręcone włosy.

Gryla zna cały Drohobycz. Bez przesady. Bo był wszystkim i jest wszystkim. Był huzarem gwardii cesarskiej w Schönbrunnie, był inspektorem rolnym w starostwie, był ziemianinem, wdowcem, prelegentem i urzędnikiem, jest wszystkim: żywą gazetą, plotką, anegdotą, niedyskrecją, pracuje w Związku Szlachty Zagrodowej; pił, pije i będzie pił, robi długi, jeździ po wsiach i gada do chłopów, blaguje, zna po imieniu wszystkich, jego znają w całym powiecie. Wie wiele krów ma Czerechawski w Uniatyczach, wiele ma Kopacz w Załokciu, wiele dzieci ma Jakubowski z Krynicy, a czemu ich nie ma Kosiński z Uliczna, lata na śluby i pogrzeby, ma zawsze odpowiednią do okazji minę i mowę, wkręca się na kolacje — „pan śpechtor" ma ordery polskie i austriackie, a jeden nawet estoński za hodowlę jedwabników, ma żywe, drobne kroczki, marsową minę i przylepiony do niej szatańsko-konfidencjonalny uśmieszek, wytarte na zakładkach spodnie, odłażący obcas, reprezentatywną figurę i wieczną młodość, wieczną fantazję kawalerzysty i animusz i temperament he, he, he!... W dobrym humorze mówi o sobie w osobie trzeciej.

— Czy Pommeranz jest taki naiwny, że dał mu na kredyt — myśli Jędrek — czy udało mu się wypić na czyjś rachunek, czy wreszcie skądś ma własne pieniądze.

— Jjak tam Po-pociecha — pyta się familiarnie Zbyszek i klepie starego.

Pociecha jest synem Gryla. Ma jakieś tam imię, ale ponieważ ojcu dobiegała sześćdziesiątka, gdy po raz któryś tam z rzędu pomyślał o potomstwie

(ale bodajże pierwszy raz o legalnym), a o cnotliwym życiu imć huzara świerkały wszystkie wróble, gdy na mrozie chciały się rozweselić lub nastraszyć krnąbrne wróblęta — więc Pociecha był niedorozwiniętym biedactwem, mającym swój odrębny język nieartykułowanych dźwięków, mimo swych pięciu lat. Miał też odziedziczone fantazje żołnierskie, po ojcu bez wątpienia, jako że matka była dawniej (przed pięcioma laty jeszcze) kuchtą pana inspektora, potem była panią inspektorową, aż wreszcie została masażystką w Truskawcu, dokąd uciekła z jednym fryzjerem. B. huzar i b. wdowiec został znów wdowcem i musztrował małego huzara, w języku Pociechy oczywiście, który to język poznał w wolnych domatorskich chwilach, wolnych od zaćmienia monopolowego i od najazdu wierzycieli, mimo, że z pochodzenia byli oni raczej bojaźliwi. I tak od czasu do czasu pamiętał Gryl o świadomym ojcostwie i w swej wilgotnej fortecy pokoju z kuchnią wychowywał syna na mściciela wierzycieli. Stąd opinia antysemity, jeśli chodzi o płeć zajmującą się lichwą — i niewiadomo skąd dziwna, wcale nieantysemicka słabość do obfitych kształtów pani Bożenny Kammerman i Rozalii Springer, sąsiadek ze Śnieżnej ulicy. Bo do szczególnej charakterystyki trzeba dodać, że widocznie z dawnych czasów huzarskich pozostała w panu Kazimierzu pewna inklinacja do potężnych zadów.

— Pociecha? Jak Pociecha — wyczkał Gryl i machnął ręką — czekam na powołanie panowie, trąbka do boju już gra, zobaczycie co stary huzar jeszcze potrafi...

— U Pommeranza? — spytał się niewinnie Jędrek, którego Gryl lubił i czasem łaskawie zezwalał na poufałość.

Gryl potoczył groźnym wzrokiem, przeciął powietrze strasznym cięciem na odlew, tylko spostrzegł się, że nie ma w ręce swej szabli, rozprostował dłoń, otworzył pięść, popatrzył na nią, że jest pusta, nasrożył wąsy i nagle łagodnym wzrokiem zaglądnął chłopcom w oczy i wymamrotał, że idzie do Pociechy, który pewnie płacze za Takim.

Nie wiadomo czemu dziecku łatwiej było wymówić „Taki“ niż normalne „Tata“ — i takim Takim został już ojciec na zawsze, ale nie ma się co dziwić, zważywszy, że dzieciak normalnie umiał nazwać tylko Żyda żydem, robić nauczone przez ojca chwyty blaszanym karabinem i śpiewać fałszywie: Hej, strzelcy wraz — poza tym wszystkie inne słowa, zachcianki i melodie były rozpoznawane tylko przez ojca, gdy był trzeźwy i przez Julcię, wątłą, piętnastoletnią dziewczynę, która nigdy nie była pijana.

Gryl skręcił niepewnie w park, a Dzidek ziewał. Nie znał Gryla bliżej, więc ani zachwycał się romantycznością jego postaci, ani rozumiał go.

W R. K. U. panował ruch, ale były jasne uśmiechy i wesoły miny. Kapitan Stocki klepał ich po ramieniu i wylewnie tłumaczył:

— Nie wy pierwsi, nie wy ostatni, nie niecierpliwcie się, sami was powołamy — wszystko we właściwym czasie, wierzcie nam...

Wiadomości były cudowne. Bez wątpienia pomyślne, mimo zaskoczenia, zapowiadające rozwój działalności po myśli sztabu. Ściskał ręce im kapitan na pożegnanie i prosił, by się nie gniewali, że ich wyprasza, ale ma dużo roboty. Pilne. Sierżant Mazur wychodził od majora, po cichu zamykał drzwi i na głośne powitanie Zbyszka kładł palec na wargach:

— Cś — ś — śśśś...

Jak cicho, to cicho, więc Zbyszek nachyla się do ucha Mazurowi, potem klepie go w plecy tak, że wylatują mu z pod pachy wszystkie papiery i dopiero szeptem pyta się:

— Nnnnie wie pan, kkkkkiedy dostanę po-powołanie?

Mazur zbiera papiery porzucone na posadzce i uśmiecha się:

— Nie bój się. Nie bójcie się panowie — we właściwym czasie...

— Obawiam się, że mi to „we właściwym czasie" wyjdzie już w niewłaściwym miejscu — myśli Jędrek.

Zbyszek jest graczem Junaka. Wszyscy urzędnicy R. K. U. i wojskowi i cywilni — są jego członkami, bo major jest jego prezesem. Wszyscy drohobyczanie są sympatykami, o ile nie fanatykami Junaka, bo Junak to pupilek i chluba nafciarzy i nafciarskiego zagłębia. I wszyscy wszystkich znają z meczów, gdzie na boisku jest całe miasto, od prezydenta (nawet nie burmistrza) do Antoszki, do gazeciarza i preclarza — i cały Drohobycz od trybun do kozłów dorożek, stojących za płotem, z których grę też nieźle widać, wrzeszczy, gwiżdże i bije brawo, cieszy się i smuci i wygwizduje. Dlatego Mazur nie gniewa się na Zbyszka Skolskiego i układając papiery mówi zasapany:

— A zamiast ze Śmigłym z Wilna zagramy mecz pod Śmigłym, co?

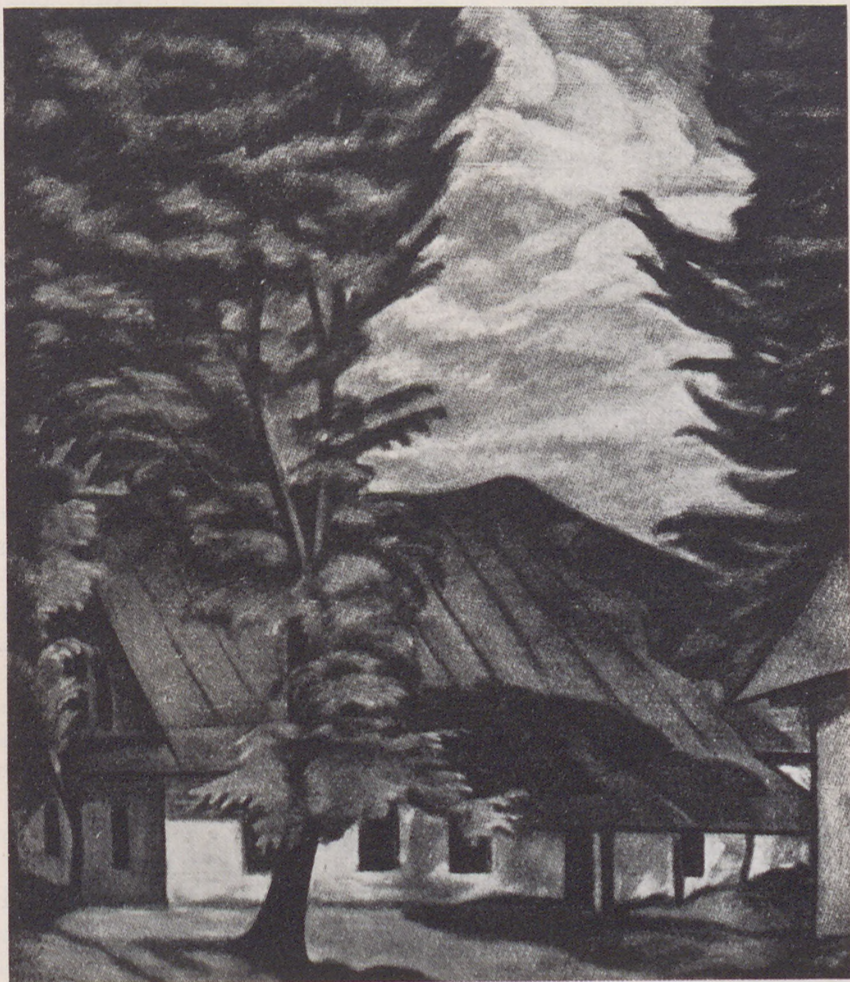
Pan Mazur ma czarne wąsiki i miły spokojny uśmiech.

— — — — — — — — — — —

Dzidek gra cały czas na fortepianie. Matusia cały dzień jest zajęta, coś robi, naprawia, widać, że nie chce zostać sama ze swymi myślami. Ja czytam i siedzę przy radiu. Tak, żeby nie zardzewieć z nudy, kłócimy się od czasu do czasu z Dzidkiem. Ja chcę słuchać komunikatów i wolę nawet te same marsze niż gamy Dzidka. Dzidek jest nieznośny. Po co mu matusia sprawiła ten fortepian przed kilku laty, gdy Stasia wzięła do siebie nasz dawny, wzięła z wyprawą, gdy wychodziła za Poldka. Ale kto to mógł wiedzieć.

W sobotę po południu zrobiliśmy z Dzidkiem schron w piwnicy, no tak na wszelki wypadek. Zalepiliśmy gliną i pakułami małe żelazne okienko, które wychodzi pod werandą pani Zajezierskiej. Pod werandą jest wolna przestrzeń, zawalona cegłami, flaszkami i resztkami naszych zabawek, jeszcze z czasów, gdy mieszkaliśmy we frontowym domu i gdy byliśmy mali. Potem my podrośliśmy, ojciec chorował i było coraz ciężej, więc musieliśmy przenieść się w podwórze, a tamto mieszkanie wynająć i tak jest teraz. Okazuje się jednak, że te zabawki, dziurawe balony i flaszki przydały się; bo pod werandę ciężko jest się dostać, a czymś trzeba było okienko zasłonić.

Naznosiliśmy piasku, uszczelniliśmy drzwi, a ja świecą wykopciłem na niskim suficie napis: „precz z paniką!". Dzidek jest muzykalny, a już mu samemu znudziło się tłuczenie na fortepianie, więc poznosił ze strychów puste flaszki (dużo tego u nas było jeszcze z czasów, gdy ojciec nie był chory), mierzył, porównywał, sortował i pod wodociągiem na podwórzu napełniał wodą do różnych wysokości. Stasia przyszła z Krzysią i Basią i została u nas na kolację, a Poldek poleciał zaraz do biura, bo ma coś ważnego załatwić w prokuraturze. Dzieci mają zabawę, bo wujcio Dzidzio próbuje z kamertonem w ręce dźwięku flaszek, ustawia je w gamy i usiłuje coś wygrać na tym. Ja pokpiwam z Dzidka i kłócę się, że to jest fałszywy ton i że Dzidek ma ucho od szaflika. To jest czuła struna Dzidka, bo on rzeczywiście ma fenomenalny słuch: przez otwarte okno włazi do pokoju, a żądany ton wypukuje na forte-



Jan Mroziński „Plastyka". Stary dworek



Artur Grottger

pianie. Potem, gdy wyłazi na parapet, jego triumfująca mina zmienia się pod moim ironicznym wzrokiem na złość, z której wypływa zapał do dalszej pracy i już sam, korzystając z pomocy tylko dzieci, a nie mojej, wnosi flaszki do schronu, ustawia je i gra brzdącom jak w cyrku, uderzając gwoździem w różne flaszki. Hetka, myśliwski pies Poldka, obwąchała już piwnice i wylazła na podwórze, teraz Sułtan zaczął szczekać i wrzawa jest pierwszorzędna.

Przez płot przyszli Langermanowie; Teo i Henio. Teo studiuje politechnikę w Mediolanie, wojna go zastała tu na wakacjach. Teraz martwi się, wiele lat mu zaliczą we Lwowie, czy go zechcą przyjąć, bo jest Żydem — i też z nami czeka na powołanie do wojska. To są bardzo porządni ludzie. Tacy jacyś nieżydowscy Żydzi. Henio jest młodszy o rok ode mnie, zdał teraz maturę, jest mądrym, milczącym chłopcem, do wszystkiego podchodzi raczej z rezerwą, ironicznie. Dawniej bawiliśmy się razem. Byliśmy w wielkiej zażyłości, ale od kilku lat żyjemy obok siebie i rzadko się widujemy. Teo przyszedł oglądnąć jak robimy schron, bo chce rodzicom też zrobić, a tymczasem ogląda się za Zosią Krajdochówną. Zosia jest ładną i miłą dziewczyną, zagorzałą harcerką i wesołym podlotkiem, który też umie i poważnie patrzeć na świat.

Jesteśmy ze sobą od niedawna na „ty". Choć ją od kilku miesięcy „uczyłem" do zdawki, bo chorowała i uczyła się w domu, mówiłem do niej „per pani", a ona do mnie „per pan", albo „per panie Jędrku". Lubiłem te lekcje, bo nawzajem trochę żenowaliśmy się. Zresztą ja jej tam za dużo nie mogłem nauczyć, bo sam dosyć po łebkach przeleciałem budę, ale za to byłem srogim nauczycielem, zadawałem lekcje, zawsze bez zarzutu — a teraz oboje pękamy ze śmiechu, że tak sami mogliśmy sobie życie utrudniać. Ona robiła małą maturę, bo chorowała a potem choroba i śmierć ojca i ich przeniesienie z Dobromila do Drohobycza, gdzie Jania, jej starsza siostra, magister praw, dostała posadę w Urzędzie Skarbowym, uniemożliwiły jej normalną naukę. To są bardzo dzielne dziewczyny. Jania utrzymuje i matkę i siostrę, nie przelewa im się, ale nie skarżą się i wszystkie trzy mają dla każdego miły uśmiech. Bardzo lubię matkę Zosi. Taka jest podobna do Wysockiej we filmie „Młody las".

Henio, jakby chcąc nadrobić te zaległości z kilku ostatnich „dorastających" lat, rozmawiał ze mną dużo. Zosia pomagała w naszym schronie, a potem zaklejała szyby paskami papieru w ich mieszkaniu. Od czasu do czasu zaśmieje się tak miło, jak ona umie. Teo nieśmiało pomagał jej w lepieniu pasków, zezując od czasu do czasu na nas, czy nie śmiejemy się z niego i patrząc na ilość szyb, bo nie chciałby, aby ta miła robota szybko się skończyła. Ale u Krajdochów są aż dwie całe oszklone werandy. Urządzaliśmy tam „przedstawienia", gdy byliśmy jeszcze mali i gdy zajmowaliśmy cały frontowy dom.

Matusia ze Stasią były w pokoju. Stasia jest najstarsza z nas i ma już dwoje brzdąców: Krzysię i Basię. Nie wiem na pewno, ale mają chyba pięć i trzy lata. A może sześć i cztery. Są to rozkoszne bobasy, a my wujciowie odnosimy się do nich jak do dorosłych. Często mam ze Stasią małe sprzeczki, bo nauczyłem dzieci takich nieładnych słów jak: oferma, pitol, wszarz i bryndza. Pitol to znaczy miglanc, brzdąc i szkut. A tamte trzy inne terminy batiarskie nie są niczym złym, jak ja to osądzam, ale są nieodpowiednie właśnie dla pitolów, jak to Stasia osądza, bo one nie wytrzymają, żeby się z tym przed gośćmi nie pochwalić. A ja nazywam tak je niby ze złością, niby ofuknę, niby nic pochlebnego te słowa nie znaczą — ale dzieciaki kocham bardzo —

Andrzej Chciuk (Francja)

Włóczęga

Idę przed siebie, gryzę pestki,
i pluję nimi na trzy metry —
niebo uśmiecha się niebieskie
i uśmiechają kilometry.

Jest mi tak dobrze i wesoło
lekko na duszy, święto w sercu,
że śpiewałbym i krzyczał wkoło,
iż brak uśmiechu, to bluźnierstwo!

Idę i gwiżdżę — jak ulicznik
śmiejcie się, śmiejcie, jak ja, wariat — —
— zrozumieć mogą to nieliczni,
że jestem dzisiaj Boga wariant!...

---

może na swój dziwny sposób, bo nie lubię okazywać swych uczuć, mam je na swój wewnętrzny użytek, a okazuję szorstkość tam, gdzie boję się, że zbytnie wylanie serdeczności ośmieszyłoby mnie.

Matusia ze Stasią rozmawiały koło pieca, z czymś kryły się przede mną. Pochlipywały, ot tak, na wszelki wypadek. Więc zapędziłem obie do robienia kleju z mąki i do cięcia pasków. Matusia poszła do kuchni przyrządzać klej, a Stasia się zbuntowała, że wcale nie myśli drapać się po oknach. Matusia prosiła ją z kuchni, by coś zagrała na fortepianie. Wiem, że Matusi nic więcej nie sprawi przyjemności jak Szopen czy Liszt w wykonaniu Stasi. Bo Stasia pięknie gra. Aż się złoszczę na Stasię, bo nie chce grać i przyczepia się do radia. W radiu same marsze. Skakały mi nożyczki ze złości i paski były nierówne, a chciałem je równo pociąć, żeby się przed Zosią pochwalić — tylko ja już jestem taki raptus i mam słomiany zapał, że się prędko zniechęcam i już mnie nic nie obchodzi jak i co robię. I na szybach kraty były rozpaczliwie krzywe i pozalewane ciastem.

— Ciekawam, kto to będzie potem mył? — pytała się Matusia.

— Już nie ja, bo pójdę na wojnę — odpowiedziałem zaczepnie.

Żal mi się zrobiło Matusi i żałowałem odpowiedzi. Ale dzieci przyszły i prosiły Babcię, że chcą coś zjeść. Nie musiałem już przepraszać Matusi. Poszła z brzdącami do kuchni.

GŁOSY PRASY

Serce Chopina. Organ uchodźców polskich w zonie francuskiej w Niemczech, ukazujący się we Fryburgu-Emmendingen pod tytułem „WIADOMOŚCI POLSKIE“, w numerze 8 (22) zamieszcza sprawozdanie z uroczystości sprowadzenia serca Chopina do Warszawy. Jak wiadomo Fryderyk Chopin zmarł w 1849 r. w Paryżu i tam został pochowany, jedynie jego serce zostało złożone w jednym z filarów kościoła Św. Krzyża w Warszawie. We wrześniu 1939 w filar ten trafił pocisk niemiecki czy odłamek bomby. A oto dalsze losy tych cennych dla każdego Polaka relikwii:

Filar został uszkodzony, tablica (pamiątkowa) strzaskana, jednak urna z sercem ocalała. Zabrano ją wtedy z kościoła — dla ochrony przed barbarzyństwem niemieckim — i przechowano w Milanówku niedaleko Warszawy.

Dopiero przed czterema miesiącami — po częściowym odrestaurowaniu świątyni, potwornie zniszczonej w czasie Powstania — serce Chopina mogło wrócić do Serca Polski, Warszawy, na dawne miejsce w filarze kościoła świętokrzyskiego.

Przewiezienie urny odbyło się bardzo uroczyście. O godz. 7 rano pięknie przybrany rydwan samochodowy przewiózł wydobytą z ukrycia urnę do Żelazowej Woli, pod Sochaczewem.

Po uroczystościach w miejscowości, gdzie urodził się Chopin, serce zostało przewiezione znów do kościoła św. Krzyża.

W środkowej nawie świątyni zasklepiono prowizorycznie posadzkę kamienną, zerwaną przez bomby, a na pierwszym filarze z lewej strony umieszczono spowrotem tablicę marmurową po jej naprawieniu. Przed wielkim ołtarzem, na razie prowizorycznie urządzonym, ustawiono złoconą kolumnę, a na niej urnę z sercem Chopina. Ruiny w kościele przysłoniły dywany i zieleń, kościół roziskrzył się lampami elektrycznemi i świecami. O godz. 12 rozpoczęła się Msza św. Odezwały się naprawione organy. Śpiewy wykonał chór „Harfa“ pod batutą swego długoletniego kierownika W. Lachmanna. Po nabożeństwie urna przeniesiona została na dawne swoje miejsce do wnęki w filarze.

Serce Chopina znowu jest w ukochanej Warszawie, znowu spoczywa ukryte w filarze kościelnym, który jest miejscem „świętym świętych“ dla każdego muzyka i każdego miłośnika najwznioślejszej sztuki muzycznej.

Dziesięciolecie śmierci Chestertona. W dniu 14 czerwca b. r. upłynęło dziesięć lat od śmierci znanego pisarza angielskiego G. K. Chestertona (1874—1936). Londyński „THE TABLET“ z 15 czerwca b. r. poświęca mu obszerny artykuł, z którego poniżej zamieszczamy wyjątki. Autorem artykułu jest najprawdopodobniej Douglas Woodruff, wielki przyjaciel Polaków, podpisany inicjałami W. D.

Mimo, iż dziesięć lat upłynęło od śmierci Chestertona w dniu 14 czerwca 1936 roku, popyt na jego książki bynajmniej nie spadł, jak to zwykle dzieje się w pierwszych latach, nawet z autorami, którzy uchodzą za pewnych. Świeca zwykle pali się słabym światłem, zanim nie rozpali się. Co do Chestertona, w miarę jak obserwujemy go począwszy od pierwszych dziesiątków lat tego stulecia, pisarz ten ukazuje się coraz wyraźniej jako człowiek przerastający swe pokolenia, poświęcający coraz większą uwagę realnym zagadnieniom, które należy rozwiązać, i piszący o nich dla jemu współczesnych, którzy go nie doceniali i dopiero teraz rozpoczęli, pod naciskiem bardzo nieprzyjemnych wypadków, rozumieć, co miał na myśli. Jego aktualność będzie coraz więcej doceniana, a jego sława będzie stale wzrastać.

...Coraz częściej przy najbardziej nieprawdopodobnych okazjach, można było znaleźć ludzi, którzy zetknąwszy się z kryzysem roku 1940 cytowali wyjątki z „*Ballady o Białym Koniu*“ — poematu, który z chwilą ukazania się był uważany przez wielu ludzi za utwór jedynie romantyczny, na wzór „Idylli króla“, a nadto za zbyt odległy od XX wieku, a nie za aktualną parabolę lub współczesną pieśń wojenną. Tymczasem Chestertona pociągał właśnie ten temat, ponieważ pojmował on trwały charakter religii chrześcijańskiej jako coś z natury wojującego i opozycyjnego. Wybór jego nie był czymś, czego szuka człowiek w pogoni za tematem, lecz jedynie wykorzystaniem pewnej części historii do zilustrowania stałych wartości chrześcijanina.

Za czasów Edwarda VII jedyną rzeczą, którą miał pisarz ten do zrobienia, było przeczekanie kilku lat, aż gwałty i bezprawie, które znał ze swych prac i pism, staną się realnością w prawdziwym świecie. Nigdy chyba tematy jego powieści nie wydawały się tak nierealnymi, jak za panowania Edwarda VII, kiedy ujrzały światło dzienne. „*Człowiek, który był czwartkiem*“ ze swymi anarchistami tkwi jeszcze w tradycji Wiktoriańskiej, gdzie zrównoważone społeczeństwo uważało za łagodną rozrywkę istnienie spiskowców, mających na celu wprowadzenie przez siłę zmian na wielką skalę. Główna myśl przewodnia tej książki — przepowiednia, że ludzie noszący mundury, udekorowani i poprzebierani, będą wierzyć i działać zupełnie przeciwnie do swych prawdziwych przekonań, stała się uderzająco aktualna w wielu krajach w ciągu kilku zaledwie lat od ukazania się książki.

Wyobraźnia Chestertona nie była proroczą jak np. Roberta Hugh Benson'a..., lecz Chesterton rozumiał przyszłość w ten sam sposób, jak wyczuwał przeszłość, bez specjalnego źródłowego historycznego oczytania. Na dzieła jego istnieje dziś tak znaczny popyt dlatego, że mimo upływu 40 lat są one stale aktualne i pozostały palącą koniecznością.

Dzięki staraniom p. Sheed, który z tygodniowych artykułów Chestertona zebrał krótkie opinie tego pisarza, wyrażone w ostatnich latach życia na temat Niemiec, wydane zostało w roku 1940 pewnego rodzaju pogrobowe dzieło p. t. „*Koniec rozejmu*“ (The end of the Armistice). Ukazało ono znacznie szerszym kręgom publiczności, niż posiadały same artykuły tygodniowe, jak Chesterton głęboko przenikał do istoty rzeczy i rozumiał nihilizm, który pojawił się od czasu nazistowskiej zdrady wobec społeczeństwa europejskiego i który stał się udziałem Niemiec. Razem z Belloc'iem, pojął on niebezpieczeństwo niemieckie, nigdy też nie usiłował go łączyć z faszyzmem, który był we Włoszech ruchem o wiele więcej sztucznym i konwencjonalnym.

Specjalny ustęp artykułu poświęcony jest stosunkowi Chestertona do Polski.

Chesterton zmarł trzy lata przed udzieleniem przez W. Brytanię gwarancji Polsce. Dzięki swemu talentowi upraszczania i rozumienia istoty rzeczy, od samego początku wykazywał on wielkie zainteresowanie odrodzonym państwem polskim, widząc, że losy jego są najlepszym termometrem zdrowia czy choroby Europy. (Odwiedził on nawet Polskę w roku 1927). Napewno wiele rzeczy z dziejów W. Brytanii w ostatnich dziesięciu latach, spowodowałoby tego pisarza do wyrażenia swego sądu“.

Współczesna Francja literacka. Powojenna Francja szybko dźwiga się do życia i organizuje mimo pewnych przeciwności. Daje się to między innymi zauważyć w dziedzinie literackiej, którą charakteryzuje mimo upływu zaledwie kilku miesięcy od ukończenia wojny, żywy nurt ruchu wydawniczego, przypływ nowych talentów oraz zainteresowanie się sprawami duchowymi. Ukazujące się od kwietnia b. r. w Belgii „WIADOMOŚCI“ Z. Nowakowskiego zamieszczają w numerze 4 artykuł Zbigniewa Grabowskiego pod tytułem: „Jest o czym dumać na paryskim bruku“, w którym o współczesnej Francji literackiej czytamy co następuje:

...W prozie (francuskiej) dalej jeszcze panuje temat okupacji, obozów koncentracyjnych; w dziale tym narazie roi się od reportaży, chociaż jest kilka pozycyj dużej miary (m. in. relacje lekarzy francuskich o życiu w jednym z obozów Rzeszy). Byłoby jednak niesprawiedliwością twierdzić, że proza francuska zajęła się wyłącznie tematem cierpiętnictwa. Oto dwie głośne powieści ogłoszone niedawno: „Aurélien“ Aragona i „Le Mas Théotime“ Henri Bosco (Prix Théophraste Renaudot 1945) zajmują się zagadnieniami psychologii typowego środowiska francuskiego; analiza miłości w obu tych powieściach jest wysokiej próby.

Znani nam sprzed wojny wielcy pisarze usunięci zostali ze sceny albo przez śmierć — jak Giradoux, którego ostatnia sztuka „La folle de Chaillot“ grana jest w teatrze Jouveta (...) albo przez wypadki — jak Jules Romains, autor „roman-fleuve“, „Ludzie dobrej woli“; powieść ta, która zamierzała wobec naszego pokolenia spełnić rolę „Jana Krzysztofa“ Romain Rollanda wobec przeszłego, przekroczyła 20-ty tom. Najbardziej czynny wydaje się Duhamel; Mauriac poświęcił się publicystyce, Bernanos milczy, bracia Tharaud podróżują po Bliskim Wschodzie, Roger Martin du Gard oskarżony jest bodaj o współpracę z Niemcami. Powstaje jednak nowa stawka pisarzy; wydaje się iż Francja nie będzie się musiała ich wstydzić. Jedni z nich płyną już na fali mody — jak np. Sartre, którego „egzystencjonalizm“ wydaje się filozofią dość dowolnie skleconą, zlepkiem rozmaitych nowoczesnych teorii, lansowanych „pour épater le bourgeois“, inni powoli dorabiają się laurów. Paryż nie stracił swego znaczenia jako giełda literacka... Dawne intrygi w świecie sztuki, zabiegi wokoło nagród, plotki literackie — wszystko to zjawiło się na nowo. Dodaje to uroku, blasku Paryżowi, który nie chce zrzygnować ze swego intelektualnego prymatu. Fakt, że Francja jest dalej wielkim centrem wydaw-

niczym, że książka francuska wychodzi szybko — o wiele szybciej, niż w Anglii, gdzie druk książki wlecze się całymi miesiącami — że poziom techniczny i wygląd zewnętrzny książki powojennej jest o wiele lepszy aniżeli przed wojną, sprawia, iż Francja może liczyć na eksport swojej książki na cały świat.

Paryż roi się od kosztownych „éditions de luxe". Są to zarówno dzieła z zakresu historii sztuki, zagadnień architektury, malarstwa francuskiego (wspaniałe tomy poświęcone Matiss'owi, Picasso, Bonardowi i innym); witryny księgarskie kokietują nowymi wydaniami Alphonse'a Daudeta, Balzaca, Stendhala, Prousta. Są to prawdziwe arcydzieła sztuki graficznej.

Czy pisać wyrazy „Niemiec" i „Niemcy" przez małe „n"? Niedawno temu rozgorzała na łamach prasy polskiej w kraju, a częściowo i na emigracji, prawdziwa walka o ortografię słów „Niemcy" oraz „Niemiec". Jedna ze stron utrzymuje, że słowo to winniśmy pisać przez małe „n" w obliczu bezprzykładnego w historii stosunku tego kraju do Polski i Polaków podczas okupacji. Druga strona przeciwstawiła się wprowadzeniu tego rodzaju zmian. Oto jak ocenia powyższą walkę numer 49 „PRZEKROJU" wydawanego w Krakowie.

Jesteśmy obserwatorami trochę niepoważnej zabawy: walki naszych publicystów i dziennikarzy o to, by słowo „Niemiec", „Niemcy" pisać odtąd po wsze czasy małą literą i zbudować w ten sposób trwały pomnik pogardy dla naszych dręczycieli.

Gdyby projektodawcy pomnika chcieli wszakże trochę pomyśleć, zauważyliby, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż im się może wydawać. Bo czy pisząc np. o Goethem mamy również pisać Niemiec przez małe „n"? A o Tomaszu Mannie? Czy może pisać Goeringa przez małe, a Goethego przez duże „n"? Dochodzi sprawa Włoch. Należały do „osi", więc nie wypada ich pisać przez duże „w", lecz potem walczyły po stronie aliantów, więc przesadą byłoby karać ich, pisząc przez małe. Może zatem przez średnie? — Nasuwa się jeszcze i to pytanie: czy pisanie słowa „Niemcy" przez małe „n" zabezpieczy nam wystarczająco naszą zachodnią granicę, czy uchroni nas w przyszłości przed ewentualną ich agresją i czy w tym celu winniśmy naśladować ich chamstwo, boć nie kto inny, jak Niemcy, rozpoczęli od pisania „Żyd" przez małe „ż"?...

Nie bez znaczenia winien być także i szacunek, jaki należy się od nas zasadom naszej ortografii, gdzie imiona własne pisze się przez duże litery i... powaga, z jaką winniśmy się zachowywać, by nie traktować spraw serio bo dziecinnemu. — Ukaranie Niemców i zabezpieczenie się przed ponownym rozrostem ich siły militarnej jest sprawą aż nadto serio i należy o niej pomyśleć rozsądniej.

Studia Polaków na obczyźnie. W związku ze znaczną obecnie liczbą studentów polskich na zagranicznych Uniwersytetach, londyńska „TRYBUNA" w numerze 1 z maja 1946 zamieszcza na ten temat obszerny artykuł, w którym zajmuje się tym problemem m. in. z punktu widzenia historycznego.

5000 Polaków studiuje obecnie na uniwersytetach i innych wyższych uczelniach za granicą. Jest to cyfra, której nigdy dotąd nie osiągnęliśmy. Dwukrotnie w historii mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem masowych studiów akademickich Polaków za granicą. Po raz pierwszy w okresie Odrodzenia zamożniejsza młódź szlachecka wyjeżdża na uniwersytety zachodnie i południowe, by czerpać tam tę wiedzę, która począwszy od XV wieku zaczyna się rozwijać pod nazwą humanizmu. Nie pozostało to wówczas bez poważniejszego wpływu na rozwój Rzeczypospolitej. Tacy Polacy, jak Kochanowski, Modrzewski, Górnicki, pobierali nauki za granicą. Klemens Janicki, chłop z pochodzenia, zdobył nawet wieniec laurowy od Papieża. Liczni Polacy wybijali się w środowiskach studenckich i naukowych. Nikt nam nie odmawiał w owych czasach prawa przynależności do Europy. Potęga Rzeczypospolitej w XVI w. przejawiała silny dynamizm kulturalny. Powracający z obcych uczelni światli Polacy krzewili nową wiedzę w kraju. Polska brała wówczas pełny udział w ogólnym rozwoju nauk przyrodniczych i humanistycznych.

Druga fala nasilenia studiów za granicą wiąże się z emigracją polityczną końca XIX i początku XX w. Studenci polscy rozsiani byli po wszystkich niemal krajach Europy. Największe jednak skupienia znajdowały się przy uniwersytetach niemieckich (Lipsk, Halle), szwajcarskich i rosyjskich (Petersburg, Kijów), no i przede wszystkim w Paryżu. W początkowym okresie naszego odrodzonego życia państwowego fakt posiadania pewnej ilości ludzi, wykształconych na obcych uniwersytetach, rozwiązał częściowo niedobór sił wykwalifikowanych z wyższym wykształceniem.

Pismo podaje następnie cyfry studiujących za granicą. W Szwajcarii studiuje 169 słuchaczy, dla 115 kończy się jednak ta możliwość z upływem lipca b. r. We Francji liczba studentów wynosi 582 kobiet i mężczyzn. W Belgii 623, natomiast w Niemczech możliwości są nawet większe, gdyż w okupacji brytyjskiej zarezerwowano 800 miejsc, a w amerykańskiej 780, we francuskiej zaś w Insbrucku studiuje już 160 osób. Z II-go Korpusu odkomenderowano na studia 2000 studentów, a nadto istnieją skupiska studenckie w Syrii i Palestynie. W Wielkiej Brytanii istnieje 5 polskich wydziałów: medycyny i weterynarii w Edinbourghu, prawa w Oxfordzie, architektury w Liverpoolu, a poza tym część politechniki w Londynie.

O prawa szarego człowieka. Mimo znacznego wzrostu ludności globu ziemskiego poszanowanie godności człowieka, jak i rozumne gospodarowanie społeczne materiałem ludzkim, każą domagać się właściwego traktowania jednostki. Szary człowiek winien być nie tylko przedmiotem, ale również podmiotem. Ponieważ zaś wszelkie planowanie odbywa się dziś w skali międzynarodowej, więc prawa człowieka muszą być zabezpieczone również na tej podstawie. Ostatnio powstała specjalna Komisja Praw Człowieka w ramach ONZ, która ma zająć się opracowaniem międzynarodowej deklaracji praw człowieka. „POLSKA WALCZĄCA“, tygodnik żołnierza polskiego na obczyźnie, zajmuje się tą sprawą w numerze z 6 czerwca br.

...Jak wiadomo, istniały dotychczas: deklaracja praw człowieka i obywatela pierwszej republiki francuskiej, kilka odnośnych deklaracji amerykańskich (deklaracja niepodległości, konstytucja, mowa prez. Lincolna w Gettysburgu), angielskich (Magna Carta i Habeas Corpus) i innych. W Polsce mieliśmy prawo wolności osobistej — Neminem captivabimus — i Konstytucję 3-go Maja. Nigdy dotąd nie starano się jednak ustalić prawa jednostki na płaszczyźnie międzynarodowej, prawa obowiązującego na całym świecie, połączonego z kontrolą i obroną przed gwałceniem praw wolnościowych jednostki przez rząd jakiegoś państwa w stosunku do swoich obywateli.

Ten ostatni punkt stanowi prawdziwą rewolucję w rozwoju pojęć prawa międzynarodowego. Jest on istotnie namacalnym stwierdzeniem, że suwerenność poszczególnego państwa ma ulec coraz to większym ograniczeniom na rzecz wspólnej organizacji międzynarodowej.

...Komisja Praw Człowieka jest jednym z licznych organów powołanych do życia przez Radę Gospodarczą i Społeczną. Rada wyszła ze słusznego założenia, że prawa ludzkie nie są zagadnieniem rozrywki politycznej, ale stanowią podstawę porządku społecznego...

Charakter Komisji jest chwilowo jedynie doradczy, ale jednym z pierwszych postulatów — i to wysuniętym przez wicesekretarza generalnego OZN — jest, aby Komisja, przedkładając projekt Deklaracji Praw Człowieka, zażądała dla siebie praw nadzoru na całym świecie nad wykonaniem zasad Deklaracji we wszystkich państwach.

Najpoważniejszy dziennik amerykański „New York Times“ nazwał tę propozycję prawdziwą rewolucją“.

Rola emigracji. „POLONIA“, demokratyczne pismo Polaków za granicą, ukazujące się w Belgii, zamieściło interesujący felieton Władysława Konopczyńskiego p. t. „Siedem emigracji“. Po szczegółowej analizie poszczególnych emigracyj polskich, których autor rozróżnia siedem, dochodzi on do następujących konkluzyj, dotyczących roli emigracji:

Nie lubię uogólnień zbyt prostych, prostackich. Kto mówi: żadna emigracja nie miała sensu, popełnia taki sam błąd, jak ten, co w czambuł potępia wszystkie powstania: przecież powstanie kościuszkowskie było niezbędne, powstanie wielkopolskie 1806 roku pożyteczne, tak samo jak wielkopolskie 1919 i śląskie 1921 roku. Podobnie rzecz się ma, t. j. rozmaicie, z emigracjami: pierwsza była zbyteczna, druga uzasadniona, ale na szczęście krótka, trzecia — barska — dobra jako gest; czwarta owocna i zaszczyta; piąta nieunikniona i twórcza; szósta dość jałowa; siódma sporadyczna, ograniczona do minimum, uwieńczyła się dużym sukcesem.

Skutki uboczne też były wieloznaczne. Materialnie emigracja polityczna, w oparciu zwłaszcza o późniejszą zarobkową, współdziałając z nią i wpływając na jej patriotyzm, przysłużyła się jednostkom i ogółowi...

Pod względem *cywilizacyjnym* kąpiel w wyższej kulturze, w środowiskach o wyższej skali obyczajności, przydała się nie jednemu — tysiącom. Sama tęsknota stała się pożywką dla patriotyzmu. Niejeden, co prawda, cywilizował się w osobliwy sposób, wstępując do obcych tajnych stowarzyszeń i nasiąkając ich mentalnością: wiadomo, że koryfeusze wszystkich kolejno naszych emigracyj, od Leszczyńskiego do Narutowicza, przechodzili przez masońskie wtajemniczenia. Ale i to nie dla każdego było wykolejeniem, dość wspomnieć Zygmunta Balickiego i jego Zet, tak doskonale zakonspirowany, dla prowokatorów nieprzenikniony, a w skutkach tak owocny.

Wreszcie, jak widać z dziejów Polonii amerykańskiej, wielkie skupienia wychodźstwa zarobkowego wprost potrzebują domieszki emigracji politycznej. Rozsiani wśród nich ideowcy, w oparciu o środki materialne masy, mogli zasilać owocnie przedsięwzięcia kulturalne Polaków i w ważnych chwilach rzucać ich głos na szalę wypadków. Pielgrzymstwo bowiem, dziś jak i za dni Mickiewicza, nie powinno być ani pokutą, ani ekspatriacją, ani wegetacją, ani karierą ale dalszym ciągiem misji narodowej.

Nowa powieść francuska o Polsce. Jedną z najpoważniejszych nagród literackich we Francji — nagrodę krytyków — można by z powodzeniem nazwać polską nagrodą. W roku ub. otrzymał ją Romain Gary za powieść o polskiej partyzantce („Education européenne"). W roku bieżącym przyznano tę nagrodę (28 czerwca) pani Agnès Chabrier za powieść o obronie Warszawy p. t. „La vie des morts" (wyd. Grasset), która przed kilkunastu zaledwie dniami pojawiła się na półkach księgarskich. Utwór swój poświęciła autorka swemu narzeczonemu, kapitanowi polskiemu, poległemu w sierpniu 1944 pod Falaise. Czołowy krytyk tygodnika literackiego „Les Nouvelles Littéraires" (20.VI.1946) Robert Kemp pisze w związku z tą powieścią m. in.:

„La vie des morts" jest dla nas w pierwszym rzędzie freskiem klęski polskiej w 1939 r., straszliwych cierpień narzuconych w bezwzględny sposób przez okupanta narodowi heroicznemu, oczernianemu przezeń i nienawidzonemu od wieków, historią przedwczesnego powstania Warszawy w 1944 r., którego armie sprzymierzone nie mogły i nie umiały wesprzeć swą pomocą. Dalej jest to dziwny nawrót tej samej historii nieszczęśliwej miłości, poczynając od XIII w. aż do 1839 r., od 1839 do 1939 — 1944, której bohaterowie odżywają w tych samych inicjałach imion: Alicja-Roch, Anna-Rafał, Aldona-Roman, jak i w podobieństwie twarzy...

To, co autorka ma do opowiadania, jest okropne. Polska, Polska! Kiedy myślę o tym, że mężczyźni, kobiety, niepomni rzeczywistości lub nieświadomie, pod wpływem starej germańskiej propagandy zadają sobie jeszcze pytanie, czy sprzymierzeni powinni byli dopełnić swoich honorowych zobowiązań... Jakąż to budzi we mnie litość!... Nigdy nie przekroczyłem granic tego słodkiego i krwawiącego kraju. Gdyby on był jednakże tylko ojczyzną Mickiewicza, Szopena i Paderewskiego, i wówczas kochałbym go czule. Ma on z pewnością i innych ludzi genialnych w swoim panteonie, ma legion bohaterów. Polacy — p. Agnès Chabrier ukazuje to poprzez fakty i obrazy, nabrzmiałe prawdą — wycierpieli o wiele więcej niż my. Kiedy się czytało o pierwszym oblężeniu Warszawy, można sądzić, że jest się u kresu tego, co można znieść. Lecz okropności mnożą się nadal bez ustanku. Polacy mają więcej Oradour niż my, więcej zagłodzonych na śmierć dzieci, rozstrzelanych zakładników, umęczonych kobiet. Wiem dobrze, że opowiadanie tych wszystkich okrucieństw z łatwością wstrząsa czytelnikiem do głębi. Osiągnął ten efekt Sienkiewicz w epopei powieściowej „Ogniem i mieczem". Dziś odmawia mu się podobno miejsca w rzędzie wielkich artystów. Jutro może odmówi się także miejsca wśród ludzi pióra p. Chabrier. Będzie to wielką niesprawiedliwością! Jej książka pełna jest stron budzących entuzjazm lub rozpierających serce. Któż może czytać bez drżenia opowiadanie o Urszuli, dziewczęciu, które podczas walk ulicznych w sierpniu 1944 przez osiemnaście godzin przemierza, czołgając się, kanały Warszawy, pełne zgrzytających szczurów i rozkładających się trupów? Albo też okropny exodus dwustu pięćdziesięciu tysięcy Warszawian, zawiedzionych w nadziei na szybkie wyzwolenie, których wróg dopadł na nowo i pędzi ich wszystkich drogami, wygłodzonych już i wyczerpanych czterema latami terroru.

Takie świetne fragmenty każą zapomnieć bez trudu przelewającą się przez brzegi utworu pełnię opowiadania, dowolność dziejów kochanków wiekowych, sympatyczne i mętne w stylu Tołstoja bredzenie biednego Mariana, który ma swoje własne teorie grzechu, ale nie potrafi ich wyjaśnić... I oskarżenia starego Antonowicza, skierowane przeciw wszystkim sprzymierzeńcom Polski, którzy pozwalają jej ginąć... Och! Te oskarżenia... One mnie dotąd dręczą. Jaką dać na nie odpowiedź? Nie wiadomo...

sts

T. Jaraczewski

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

M. WAŃKOWICZ, *Bitwa o Monte Cassino*, tom 1, wyd. Oddz. Kultury i Pracy II Pol. Korpusu, Rzym 1945 Mediolan, str. 447 i 1 nlb.

Najnowsza książka autora „Dziejów Rodziny Korzeniewskich“ jest wydawniczym ewenementem. Imponuje opracowaniem graficznym, bogatym i ciekawym w pomysłach. Składają się nań 424 fotografie, 12 zdjęć lotniczych, 34 szkice terenowe i sytuacyjne, mapy, wykresy, 241 zdjęć uczestników bitwy o Cassino, oraz 122 rysunków. W sumie 833 ilustracyj na 447 stronach. Już samo zestawienie tych cyfr posiada swoją wymowę i świadczy niezwykle dodatnio o talencie graficznym S. Gliwy oraz jego współpracowników, którzy przez rozplanowanie zdjęć, fotomontaży, ponadto zaś przez uzupełnienie ich ciekawymi rysunkami, szkicami i wykresami, umieli stworzyć frapującą całość.

Tekst M. Wańkowicza zepchnięty został w książce na drugie miejsce.

Autor stara się w poszczególnych rozdziałach zmontować słowem nagromadzony materiał ilustracyjny. Montaż ten nie zawsze jest udany. Przede wszystkim nie daje wrażenia całości. Nie jest przetrawiony kompozycyjnie. Czytelnik gubi się w szczegółach, przyznać trzeba napisanych żywo i porywająco, niemniej jednak trochę bezładnie. Po przeczytaniu tej książki odnosi się wrażenie, że słuchało się opowiadań uczestników bitwy o Cassino. Wszyscy oni opowiadają naraz, kupą, jeden przez drugiego. W tym chaosie gorączki narracyjnej czytelnik zatraca się, gubiąc ocenę ciężaru gatunkowego poszczególnych epizodów.

Dlatego tekstowi Wańkowicza można wiele zarzucić z punktu widzenia formalnych wartości literackich. Trochę ryzykowną rzeczą jest doszukiwanie się w książce elementu „samosierskiego“, czy „remarkowskiego“, jak to czyni reklamowa recenzja „Bitwy o Monte „Cassino“. W sposobie pisania kryje się tutaj raczej reporter, wymykający się tradycyjnym normom krytycznym, próbujący może przemycić w swej książce uchwyty amerykańskiej kwatery prasowej, od opisu której rozpoczyna notowanie swoich wrażeń.

Nie to jednak jest momentem istotnym w ocenie książki Wańkowicza.

W 9 rozdziałach stara się on przedstawić pierwszą fazę walki o Monte Cassino. Prowadzi czytelnika ze sobą, każe mu uczestniczyć w bitewnych losach ginących oddziałów, w zmaganiach pojedynczego żołnierza z czyhającą nań zewsząd śmiercią, przenosi go do komórek operacyjnych różnego stopnia. 14-dniowy okres przebywania autora z walczącym żołnierzem wycisnął piętno na rodzaju opowiadania. Jest ono dziwnie lekkie, beztroskie, chciało by się powiedzieć gawędziarskie. Wańkowicz wielu rzeczy nie domawia. A szkoda, bo książka jego zyskałaby tylko na zasadniczym tonie. Byłby nim heroizm walki żołnierza polskiego. W ogromie własnych przeżyć, w spisaniu relacyj innych, gubi się ten moment. Element „samosierski“ został w sposób niefrasobliwy rozwodniony. W stenograficznym stylu wojskowych rozkazów, w reporterskiej zachłanności łapania na gorąco momentów i obrazów, pokrzywdzona została kultura słowa.

Na obronę autora można by przytoczyć sporo argumentów. Najgłówniejszym bodaj z nich są specyficzne warunki, w jakich pisał swoją książkę, brak czasu na przetrawienie i przemyślenie olbrzymiego materiału wrażeniowego. Inter arma silent musae — klasyczne to stwierdzenie można by w odniesieniu do „Bitwy pod Cassino“ zmodernizować, ryzykując zdanie, że muza Wańkowicza została... zszokowana. Epickość wydarzenia zagubiła się w gorączce reportażu.

Mimo to ma on swoją wartość, bo przekazuje czytelnikowi polskiemu trud żołnierza polskiego w bezpośredni i poglądowy sposób. Materiał ten stanie się niewątpliwie w przyszłości bodźcem twórczym, który zachęci niejedno polskie pióro do pokuszenia się o wydobycie z tego odcinka historii naszej walorów artystycznych.

E. L-s

JERZY NIEMOJOWSKI, *Wyszywane orłami*, dramat. Wydawn. Polsk. Związku Wychodźstwa przymusowego w Hanowerze 1946. Str. 56.

Motyw walki społeczeństwa w kraju z niemieckim okupantem zajmuje w polskiej prozie i poezji jedno z naczelnych miejsc. Walka ta zrodziła potężny kompleks, który szuka obecnie wyzwolenia się. Głębokie wstrząsy i przemiany, jakim uległo życie człowieka, nękanego bez wytchnienia zbrodniczymi pomysłami hitlerowskich siepaczy, pozostanie chyba na długo domeną literatury powojennej z uwagi na psychologiczną wszechstronność i bogato urozmaiconą scenerię wydarzeń. Dowodzi tego wzmagająca się ilość wydanych książek, w których te właśnie motywy znajdują swoje różnorakie odbicie. Już dzisiaj przewyższają one chyba liczbowo utwory o treści batalistycznej.

Utwór Niemojowskiego p. t. „Wyszywane orłami“ jest ciekawą próbą wykorzystania tego tematu w dziedzinie dramatu. Autor ucieka się w nim do operowania symbolem, przedstawiając w trzech obrazach scenicznych frag-

menty przeżyć swych bohaterów, którzy z podziemi konspiracyjnych idą ku śmierci, lub ku jej przedłużeniu: do obozu koncentracyjnego. Symbolizm dramatu znajduje swój wyraz w sposobie ujęcia postaci, w naszkicowaniu ich, w skoncentrowaniu pewnych tylko motywów psychologicznych — przez co nawiązuje ten symbolizm jakby do koturnowości klasycznej tragedii. Autor jednak nie wszędzie utrzymuje swój dramat na tym samym poziomie. Widoczny jest wpływ Wyspiańskiego, a zwłaszcza „Wesela" przez wprowadzenie jako pomocniczego środka dla wyrażenia pewnych nastrojów melodii kujawiaka, który powtarza się w akcji i kończy ją w analogiczny sposób. Odnajdujemy u Niemojowskiego również reminiscencje z III cz. Dziadów (opowiadanie Więźnia-Chłopca Jasnowłosego, Więźnia-Chłopca Ciemnowłosego). Ze względu na bardzo wyraźne zbieżności z koncepcjami dramatycznymi Wyspiańskiego i Mickiewicza — należy autora posądzić raczej o świadome zupełnie wprowadzenie ich do dramatu.

Niemojowski posługuje się dobrym wierszem, w którym asonans walczy o lepsze z bogatą przenośnią i metaforą. To ostatnie sprawia, że dramatu „Wyszywane orłami" nie można zaliczyć do kategorii utworów „łatwych". Wymaga on literackiego przygotowania, dużego napięcia uwagi i wnikliwego wczucia się w jego symbolizm, w którym może tu i ówdzie gubi się trochę intencja artystyczna autora.

E. L-s

STANISŁAW NECZAJ, *W tej walce chodzi o sprawę człowieka (Listy do przyjaciela)* Wydanie Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i demokracja", 1946, Londyn Str. 108.

Trudna sytuacja, w jakiej znalazło się społeczeństwo polskie po zakończeniu ostatniej wojny światowej, znajduje swoje odbicie w bogatej literaturze krajowej i emigracyjnej. Obok wielu zasadniczych spraw, których rozwiązania domaga się najbliższe Jutro Polski, problemów o najrozmaitszym zasięgu i doniosłości — wybija się na czoło nasze osamotnienie w rodzinie europejskich narodów. Osamotnienie tym bardziej gorzkie, że przecież włożyliśmy taki ogrom trudów i ofiar w walce o nową Europę. Zapłata, jaką dotychczas otrzymaliśmy, jest tragiczna w swoich skutkach. Tragiczna przede wszystkim dlatego, że społeczeństwo polskie podzieliło się na dwa obozy, że powstało pojęcie: z tej i tamtej strony barykady, że wiele najcenniejszego wysiłku myślowego zużywa się na wymierzanie sobie wzajemnych ciosów, że w walce o taką czy inną orientację zużywa się do reszty żywotne zapasy organizmu narodowego. Zasadniczym tonem, przewijającym się w wyraźny sposób przez liczne polemiki, jest wzmagająca się ich zaciekłość, coraz mniej dopuszczająca możliwości porozumienia się wzajemnego, stawiająca już nie tylko barykady, ale kopiąca coraz głębszy rów między emigracją i krajem.

Skromna książka Neczaja wybija się z wielu względów korzystnie na tle tej polemicznej literatury. Cechuje ją przede wszystkim oderwanie się od publicystycznego sposobu rozważania najważniejszego dla nas problemu, głęboka analiza polskiej sytuacji polityczno-kulturalnej i wreszcie bardzo piękna forma wypowiedzenia myśli. Ta ostatnia cecha zasługuje na podkreślenie już choćby dlatego, że robi nią autor wyłom w zadrażnieniu polemicznym, które niejako a priori utrudnia wymianę myśli.

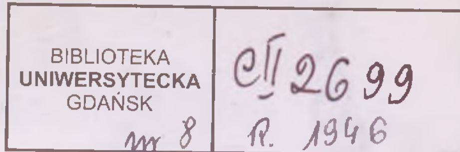
„Listy" Neczaja nie są w swej treści rewelacją. Koncentrują przesłanki, rozrzucone i wprowadzone od dawna do naszej literatury przez wielu polskich pisarzy. Starają się one uzmysłowić fakt nieustannej żywotności i słuszności tych przesłanek. Ponadto jednak są wyrazem doświadczeń autora, który zamknął w nich wyniki osobistych przeżyć i przemyśleń. Zaciekawiają już choćby ze względu na kresowe pochodzenie autora, a więc ze względu na jego mentalność wyhodowaną na tradycjach naszej najlepszej tężyzny narodowej.

Zagadnienie Jutra Polski przepuszcza Neczaj przez „pryzmat" jednostki i z jej punktu widzenia częściowo rozpatruje perspektywy dalszego rozwoju sprawy polskiej. W epoce ścierania się dwóch koncepcyj cywilizacyjnych, wymagającej od człowieka uświadomienia sobie zasadniczego możliwie największej liczby współczynników, jakie w tym ścieraniu odgrywają rolę — skromna książka Neczaja urasta do pozycji zasadniczej w naszej literaturze. Broni ona pojęcia człowieczeństwa, rozumianego na sposób zachodni. W dziesięciu listach narasta konsekwentnie odpowiedź: *jakiej Polski chcemy*. Uzasadnia ją autor wszechstronnie: omawia stan biologiczny polskiej kultury, dąży do uchwycenia syntezy „polskiego świata", charakteryzuje polski klimat narodowy, zastanawia się nad pojęciem życia zbiorowego poddając analizie tzw. socjalne zabobony i ich antytezę humanizm, które walczą w powojennym procesie krystalizowania się tego pojęcia, roztacza następnie przed czytelnikiem perspektywy wyzwolenia i organizacji twórczych sił człowieka, jego odrodzenia moralnego, zajmuje się problemem silnego Państwa i poprzez uwagi o źródłach entuzjazmu twórczości dochodzi wreszcie do rozważań nad drogowskazami dla obecnej emigracji polskiej.

Książka Neczaja powinna dotrzeć do rąk każdego Polaka. Wolna od koniunkturalnego doktrynerstwa politycznego sięga ona w głąb duszy polskiej, przypominając jej te odwieczne prawdy i nakazy, które już niejednokrotnie wyprowadzały ją z dziejowych matni i ostępów.

E. L-s





HORYZONTY można naby

Francja: T. Pajor, 47, rue de l'Univer

Anglia: W. Filski, Polish Booksstalls, 29, Buckingham Palace Road, London S. W. 1.
Księgarnia „Co słychać“, 2, Drumsheugh Place, Edinburgh.
Księgarnia Polska, 250, Hope Street, Glasgow, C. 2.
„Orbis“ 9, New Oxford Street, London W. C. 1.
„Ognisko Polskie“, 55, Princes Gate, London S. W. 7.
„Orbis“, 31, Castle Street, Edinburgh.
„Orbis“, 24, Cowgate, Dundee.

Szwecja: Blandyna Sobieszczańska, Tranas, Stigbergsgatan 15/3

Niemcy: (Strefa okupacyjna brytyjska) Centralna Księgarnia Polska w Meppen oraz filie w Hamburgu, Hannowerze i Rheda.

Administracja prosi o dołączanie do listów z zapytaniami o informacje znaczków pocztowych, wzgl. międzynarodowych kuponów pocztowych.

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219. V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.

Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

 Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.**   Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**